**Miesięcznie 1 zł** 1 egz. **30** groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

# Moje Powieści

## ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 11 kwietnia 1937 r.* Nr. 15



# *Kocham was...*

— Takieście jasne, białe, różowe — jak
blask zorzy i słońca w rosie porannej
— takieście delikatne i drobne — jak pierw-
sze kwiaty wiosenne
— takieście jasne i czyste — jak świeżość
powietrza po deszczu majowym...
O dzieci! Kocham was!
— I te złotowłose — jak zboża naszych
pól ojczystych
— I te ciemnookie — niby głębie naszych
puszcz i lasów
— I te o oczach modrych — jak polne bła-
watki
— I te siwookie — by sine lny ojczystych
zagonów.
Kocham was, dzieci!
— Za waszą niewinność lilji białych i nar-
cyzów
— za słodycz uśmiechów anielską
— za ciepło pieszczot waszych dziecięcych
— za beztroskę, co, niby promyk złoty słoń-
ca, wyjaśnia szarość dni naszych
— za podobieństwo kwiatom, co życie upięk-
szają ludziom kształtem, barwą i wo-
nią — — —
— za to, że jesteście uosobieniem Dobra
na ziemi i radością i błogosławieństwem
życia — kocham was!

Danuta Wyrybkowska

WOJCIECH HOLM

26)

# *Nienawiść a miłość*

*czyli tajemnica zamku Felseg*

Gwałtowny sposób, w jaki bronił swe przekonania i źle ukrywana niechęć jego do księcia, wydały jej się u niego bardzo niecywilizowane. Stawała się coraz chłodniejsza dla niego i w całem zachowaniu się wobec niego, odbijała się ta zmiana przekonań jej i zapatrywań. Rzuciła się w wir zabaw włoskiego towarzystwa. On odczuwał to boleśnie. Dręczyła go zazdrość i obrażona miłość własna.

Nie tracił jeszcze jednak nadziei, sądząc, że to tylko przejściowe. Czasem Lola rzucała mu czulsze słowo albo pieszczotę, co podsycało jego nadzieję, że ona, dla której poświęcił całą przeszłość i przyszłość nie odrzuci go, jak piłkę i z nową miłością wróci w jego objęcia. Oczekiwała więc kryzysu tego stanu przejściowego i kryzys nadszedł, ale w zupełnie innej formie, niż on się jej spodziewał.

Co wieczora schodzili się panowie u Loli i on był zawsze między nimi, ale grał tam rolę bardzo podrzędną, bo nie umiał mówić po włosku, a gdy nawet czasem rozmawiano po francusku, traktowano go tak z góry, że wolał nie odzywać się wcale do nich i siedzieć cicho w kącie.

Wtedy Anastazja spoglądała nań ze złośliwym uśmiechem.

Jednego wieczora, gdy sam książę Andrea Teschini był z wizytą u pięknej baronowej, usłyszał Leon te słowa:

— Chętnie bym zagrał w wista, gdyż bardzo lubię tę grę — rzekł książę.

— O, i ja — zawołała z zachwytem baronowa Wimpfen.

— Ale cóż mam z tego, skoro jest nas tylko dwoje — odpowiedział zubożały książę, który w swojej dumie arystokratycznej pominął zupełnie Leona i Anastazję, jako zera.

— Pan Waldau będzie trzecim partnerem — zawołała baronowa — a za czwartego będziemy sami grali.

— Jak pani baronowa rozkaże — odpowiedział uprzejmie książę, oburzając się jednak w duszy, że go zmuszano do siedzenia przy jednym stole z plebejuszem.

— Anastazjo — zawołała baronowa do towarzyszki — proszę nam przygotować stół do gry, a pan, panie Waldau, będzie trzecim w naszej grze.

Ton jej mowy brzmiał tak rozkazująco, że w Leonie krew zakipiała. Wzrokiem jednak tylko okazał swą wściekłość. Skłonił się uprzejmie i odpowiedział grzecznie:

— Jak pani rozkaże.

W grze wypadło tak, że on miał grać za siebie i za czwartego, a ona z księciem przeciwko niemu, co także Leona w duchu złościło.

Lecz grał bardzo dobrze i z początku uważał bardzo, żeby księciu nie dać sposobności do najmniejszego nawet tryumfu, ale obojętność prawdziwie arystokratyczna, którą książę okazywał



W tych dniach zginęła w jakiejś tajemniczej katastrofie samolotowej, sławna lotniczka angielska — ks. Bedford. Księżna posiadała już 72 lata i była nietylko śmiałą i dzielną lotniczką, ale i nieprzeciętną uczoną.

przy grze, podrażniła go tak, że stracił zimną krew.

Książę podczas gry uważał trwożnie, żeby się przypadkowo nie dotknąć ręki Leona, a jeżeli miał mówić do niego, to patrzył nań tak, jak gdyby przemawiał do ściany.

Jeśli dumnemu księciu karta upadła z ręki na ziemię, nie schylał się po nią wcale, tylko czekał, aż Leon ją podniesie. Leona bardziej jeszcze złościło to, że młoda baronowa w najlepszym humorze zabawiała się z księciem, a na niego w ogóle nie zwracała uwagi.

Nieszczęście chciało, że Leon przeoczył jedną ze swoich kart podrzędnych, którą powinien był położyć i przez którą powinien wygrać i uregulować rachunek.

— E, — zaczął książę pod nosem mruczeć — według mego obrachunku musi być jeszcze w grze dziesiątka czerwienna.

Leon jednak nie słyszał tego i chciał rozpocząć obrachunek.

— Hm — powtórzył książę głośniej — pan musi mieć jeszcze w ręku dziesiątkę czerwienną.

Leon dopiero teraz zauważył, że książę mówił do niego.

— Przepraszam bardzo — rzekł zakłopotany, spojrzawszy w karty — w rzeczywistości mam jeszcze dziesiątkę czerwienną. — W takim więc razie państwo wygrali.

Książę nie odpowiedział nic, ale popatrzył na Leona tak szyderczo, że ten z gniewem zerwał się blady i zawołał:

— Książę, żądam stanowczo odpowiedzi, czy pan w mojej omyłce widzi czyn rozmyślny?

— O panu — odpowiedział książę — wcale nie myślałem.

Obrażający ton tych słów, doprowadził Leona do takiej wściekłości, że nie zważając już wcale na nikogo, zawołał:

— Panie, ja żądam... — i chciał dokończyć: zadośćuczynienia.

Wtem jednak uderzył go karzący wzrok baronowej, która rzekła ostro:

— Proszę pana wziąć wzgląd na to, że się znajduje w moim salonie.

Następnie zwróciła się bardzo uprzejmie do księcia i nie zwracając zupełnie uwagi na Leona, odsunęła od siebie karty.

Leon miał takie uczucie, jak gdyby go zlano zimną wodą. Czuł się bezsilnym i bezbronnym i nie wiedział jak sobie poradzić. Wśród największego dręczącego zakłopotania, postanowił wreszcie nazajutrz zażądać zadośćuczynienia od księcia, a tymczasem udać, że zupełnie zapanował nad sobą.

Przeczekał aż do chwili stosownej, żeby się wtrącić do ich swobodnej rozmowy i spytał:

— Nie zechce pani baronowa grać dalej?

Musiał drugi raz powtórzyć, zanim baronowa odparła oschle:

— Ja nie, ale może książę? — zwróciła się do gościa.

— Jestem zupełnie zdania pani baronowej — rzekła Teschini.

— Zrób pan więc rachunek — rozkazała baronowa sekretarzowi.

— Państwo nie oznaczyliście po ile punkt? — rzekł Leon.

— Nie? — spytała baronowa obojętnie — więc powiedzmy po 10 lirów, albo powiedzmy po 20 lirów, jak książę uważa?

— Jestem tego samego zdania, co pani baronowa — odparł książę.

Stanęło zatem na 20 lirach punkt, co czyni 12 guldenów.

— Więc powiedzmy 10 lirów — żartowała baronowa — jestem solidna niewiasta i nie mogę grać na wysoką stawkę.

Leon skamieniał ze zgrozy, nigdy nie grał na tak wysokie stawki i to, co baronowej wydawało się drobnostką, to dla niego było nader olbrzymią sumą.

On jeden przegrał i nie wiedział co począć ze sobą, bo nie miał pieniędzy.

— Pani baronowa ma plus 1.000 lirów — rzekł po chwili jąkając się — a książę pan tak samo. Ja przegrałem i będę miał zaszczyt jutro państwu uiścić się z długu.

— Ja rezygnuję — odpowiedział książę ironicznie.

Mimo tej nowej obrazy, Leon pohamował się i odpowiedział na pozór spokojnie:

— Nieprzyjęcie długu jest czymś tak wyjątkowym, iż przypuszczam, że książę nie będzie obstawał przy tym.

Zagadnięty nie raczył odpowiedzieć, a baronowa patrzyła przed siebie z ironicznym uśmiechem.

Kłopotliwemu milczeniu położył koniec książę, żegnając się z baronową, po czym skinąwszy głową Leonowi i Anastazji, wyszedł.

Skoro tylko wyszedł, wysunęła się z pokoju Anastazja.

Leon obrzucił teraz Lolę całym potokiem wyrzutów za jej zachowanie się względem niego.

Ona wysłuchała go spokojnie, nic nie mówiąc i nie patrząc na niego.

Gdy wreszcie skończył, odrzekła z lodowatym spokojem:

Dzień dzisiejszy pouczył mnie, że byłam co do pana w grubym błędzie.

Leon osłupiał ze zgrozy.

— Do pana? — zawołał. — Lolo, co ty mówisz?

Ona udała, że nie słyszy tego i mówiła dalej w tym samym tonie:

— Mimo pańskiego, mieszczańskiego pochodzenia, sądziłam, że pan jest człowiekiem honorowym. Tymczasem dziś dał pan dowód, że tak nie jest, obrażając w moim salonie mego gościa.

— Jak możesz być taka niesprawiedliwa i okrutna? To on mnie obraził!

Słowa jego przeszły bez wrażenia.

— Nie dość na tym — mówiła baronowa. — Zachowanie się pana w sprawie tego długu, było bardzo dziecinne i żakowskie.

Ta niesprawiedliwość była dla niego pchnięciem sztyletu. Chciał się usprawiedliwić i porozumieć z nią, ale ona wyszła z pokoju.

Pobiegła za nią, ale drzwi od jej pokoju zastał zamknięte. Lola nie chciała z nim już nic mieć do czynienia.

Teraz dopiero stanęła przed oczyma Leonowi, cała jego nędzna, niegodna i niehonorowa egzystencja ostatnich kilku tygodni.

Porwał go gniew na siebie samego, na swoją słabość, przez którą padł ofiarą tej kobiety, i jego miłość do niej zamieniła się w wściekłość.

Równocześnie obudziło się w nim sumienie i żal i skrucha, że zawinił tak bardzo wobec żony i ból za straconym szczęściem, doprowadzał nieszczęśliwca do rozpaczy.




Do moczenia bielizny: HENKO, soda do prania i bielenia!


## ROZDZIAŁ XCIX.

Baronowa zachowywała się niezwykle biernie, gdy ją garderobiana czesała i układała do snu. Nie ganiła dzisiaj nic, jak to zwykle czyniła, nie zauważyła nawet, że ma negliż nocny źle zapięty i potem musiała poprawiać.

Gdy się położyła do łóżka, zjawiła się jak zwykle Anastazja i czytała jej głośno książkę; ale ledwie przeczytała dwie stronice, przerwała jej baronowa:

— Odłóż to, Anastazjo — rzekła nadzwyczaj uprzejmie — wolę z tobą pogawędzić.

Była bardzo niekonsekwentną, także i wobec służby, dla której raz była bardzo niedobra, a potem znowu nadzwyczaj uprzejma, co nigdy jednak nie trwało długo.

Anastazja znała ją i wiedziała co teraz przyjdzie.

— Zirytowałam się dziś na Waldaua — rzekła poufale baronowa.

— Nie można tego wcale pani baronowej mieć za złe — rzekła Anastazja, ciesząc się w duchu, że już nadeszła chwila, długo przez nią oczekiwana.

— Taki mieszczanin jednak nie ma żadnych zalet, skarżyła się baronowa — szlachcic byłby przecież całkiem inaczej postąpił.

— Ależ naturalnie — schlebiała Anastazja, która sama pochodziła z mieszczańskiej rodziny, o czym jednak teraz nie pamiętała — przecież nie ma nic nad arystokrację.

— Wiesz — mówiła dalej baronowa rozgadawszy się — postanowiłam sobie nigdy już nie wdawać się z żadnym biedakiem, żeby był niewiedzieć jaki przystojny. To bardzo niemiłe, jeżeli się wie, że każdy kwiat, który on przynosi, zapłacony jest naszymi własnymi pieniędzmi.

— Tak jest, ja w ogóle nie pojmuję, jak jemu godność pozwala dawać się utrzymywać — buntowała ją Anastazja.

— To właśnie dowodzi, że on nie jest prawdziwym mężczyzną — rzekła Lola z pogardą.

— Nie! — potwierdziła z namaszczeniem Anastazja — nie jest! Ale pani baronowa nie wie jeszcze, jak on sobie po tchórzowsku postąpił wobec innej kobiety, która do niego ma największe prawa!

— Nie może być! co? Powiedz, nie ukrywaj przede mną nic!

— Jeżeli pani baronowa każe, to opowiem, chociaż ja nie lubię opowiadać o ludziach, takich rzeczy.

— No, mów już, mów!

— A więc proszę, pan Waldau panią okłamywał i oszukiwał w niesłychany sposób.

— Jak to? — baronowa zerwała się z łóżka — on może pod fałszywym nazwiskiem? Może to jakiś znany łotr, który mnie chciał ograbić?

— To nie — odrzekła Anastazja — ale zawsze niepoczciwie sobie postąpił. Czy nigdy nie mówił pani baronowej o swojem małżeństwie?

— Co, on żonaty?

— Tak jest, ma młodziutką, bardzo ładną żonę.

— A to oburzające! Tyle razy mnie okłamywał, że jestem jego pierwszą, prawdziwą miłością!...

— To samo mówił przed kilku miesiącami swojej młodej żonie, z którą się ożenił z miłości — dodała z jadowitym spojrzeniem Anastazja.

— A to nędznik kłamliwy — oburzyła się baronowa — a skąd ty wiesz o tym?

Anastazja powiedziała, że dowiedziała się o tym przypadkowo od kuzyna Steina. Nie mogła bowiem znieść, aby jej dobra pani tak była oszukiwana, wyszukała więc jego adres, by się przekonać, i rzeczywiście znalazła w rozpaczy pogrążoną młodziutką, może szesnastoletnią, śliczną jak anioł kobietę.

Baronowa słuchała, wydając okrzyki oburzenia.

— A to nędznik! — zawołała — a to kłamca przebrzydły! Nie mogę nawet uleżeć w łóżku. Muszę mu zaraz to wszystko powiedzieć. Ja mu pokażę! Pomóż mi się ubrać.

Anastazja nie posiadała się z utajonej radości, gdy baronowa w porannym negliżu poszła w kierunku pokoju Leona.

Na palcach zakradła się Anastazja, aby podsłuchać pode drzwiami.

Gdy w pokoju Leona zaczęła się głośniejsza rozmowa, słyszała każde słowo.

— Kłamcę i oszusta kochałam — krzyczała baronowa. — Mnie ustami przysięgałeś miłość, a ją miałeś w sercu. Ani iskry uczucia już nie mam dla ciebie, tylko gniew i pogardę!

— Lola! — bronił się namiętnie Waldau. — Ty mi to mówisz? Ty mnie oskarżasz? Ty!? Dla której poświęciłem niewinną zupełnie żonę, Hortensję? Ty, dla której poświęciłem wszystko!

— Nie próbuj się nawet usprawiedliwiać — zawołała Lola pogardliwie — wiem już, kim jesteś. Gdybyś mnie kochał, byłbyś mi powiedział o wszystkim a ja byłabym wierzyła w miłość twoją mimo wszystko...



Na zdjęciu król grecki Jerzy z księżniczką Ireną w drodze na nabożeństwo do katedry, odprawione z okazji greckiego święta narodowego.

Tyś jednak milczał, jak tchórz. Byłam dla ciebie tylko rozrywką, albo możeś chciał nawet finanse podreperować moją kasą. No, ale teraz kompletnie jestem wyleczoną.

— Nie, to już nie do zniesienia — krzyczał Leon dziko — ja tobie poświęciłem wszystko, nawet swój honor, a ty mnie za to obrzucasz obelgami? Ja nie starałem się o twoją miłość. Nie ja ciebie szukałem, tylko tyś mnie zwabiła.

Ty mnie rzuciłaś się w objęcia i zaraz wtedy porwany miłością poświęciłem ci się, z tej samej przyczyny odpędzisz mnie teraz od siebie jak psa. Lolu — zawołał, a głos jego stał się miękki — czyż naprawdę możesz uważać za łotra człowieka, którego kochałaś? Naprawdę nie wierzysz w bezinteresowność mojej miłości? Nie przyprawiaj mnie o rozpacz, przyznaj, żeś to powiedziała w gniewie i cofnij to straszne słowo!

Mówił z takim uczuciem, że Anastazja pomyślała sobie:

Jeżeli on tego uczucia nie udaje, to musi być jeszcze bardzo dziecinny.

Ale ani ona, ani baronowa nie wierzyły w jego szczerość.

— Ładnie pan to wypowiedział — rzekła baronowa ironicznie — ale na nic się to panu nie przyda — drugi raz już mnie pan nie oszuka. Przekonania nie zmienię.

— A więc naprawdę już nic nie masz dla mnie, prócz pogardy — zawołał. — Więc już znikło to krótkie szczęście, które okupiłem tak drogo krwią moją własną i jej?

— Nie poczuwam się do winy, co do niej — odpowiedziała sucho baronowa — bo nic o jej istnieniu nie wiedziałam. Co do pana zaś, nie zatrzymuję go, jestem nawet zdecydowana dać panu pieniądze na podróż.

Mówiąc to, zeszpecona była wyrazem nienawistnej ironii.

Ale on nie widział tego, bo zakrywszy twarz rękoma, wołał w rozpaczy:

— Hortensjo, jesteś pomszczona!

Trwało dobrą chwilę, nim wrócił do względnej równowagi. Gdy znowu popatrzył na nią, taki był blady i wzrok miał mętny i pozbawiony blasku, że nawet kamienne serce tej kobiety się poruszyło.

— Po tych słowach, które dziś tutaj padły — rzekł wygasłym, jakimś bezdźwięcznym głosem — po tem oskarżeniu i po tych obelgach nic więcej między nami nie może być wspólnego. Opuszczam cię, Lolu, na zawsze, nie przeklinam cię, nie wołam o pomstę do nieba, bo teraz już wiem, że każda wina musi być ukarana, że każdy grzech się mści.

Przyjdzie czas, że w rozpaczy wspomnisz mnie i tę godzinę.

Rzekłszy to, złamany padł na krzesło i odwrócił się, aby ona nie widziała jego cierpień.

Na niej jednak to wszystko nie wywarło żadnego wrażenia.

Kobieta ta była bez serca. Tak samo jak nie znała prawdziwej miłości, nie znała litości ani wspaniałomyślności.

Kiedy uleciała jej namiętność, pozostało tylko obrzydzenie, zaczęła go teraz dopiero na dobre ogromnie wyszydzać.

— Widzę, że pan masz zdolności na kaznodzieję. Zdaje mi się nawet, że studiował pan teologię. Żeby panu dać dowód, że nie mam urazy do niego, mogę panu wyrobić stypendium na dalsze kształcenie się. Napiszę do domu do Wiednia, żeby panu dwa razy na tydzień dawano za darmo. Widzi pan zatem, że się nawet nie gniewam na pana.

Ukłoniła mu się ironicznie i wróciła do siebie, gdzie zastała Anastazję niby to zaspaną nad jakimś romansem.

— Anastazjo! — spytała podrażniona — jak to się stało, że wszystkie drzwi od niego aż tu, zastałam zamknięte?

— Nie wiem — broniła się Anastazja — bo ja się zdrzemnęłam.

— Ostatecznie wszystko mi jedno, czy ktoś podsłuchiwał czy nie, najgłówniejsze jest to, że się go szczęśliwie pozbyłam.

— A!... to gratuluję pani baronowej serdecznie. A czy dostał jakie pieniądze, żeby milczał i nie robił jakich plotek? — spytała Anastazja, żeby dowieść, że nie podsłuchiwała.

— Nie, dam mu jutro rano dopiero pieniądze na podróż — rzekła baronowa. — Nie potrzebujesz mi już teraz czytać, bo jestem szczęśliwa, żem się go pozbyła i będę świetnie spała.

— — — — — — —

Gdy w ten sposób ta bezduszna kobieta zakończyła nowy epizod swego życia, Leon oddał się zupełnie smutkowi i rozpaczy i rzucił się na kanapę z konwulsyjnym płaczem.

Leżał tam, sam nie wiedząc jak długo, gdy uczuł, że obejmuje go dwoje miękkich ramion i ktoś przyciska jego głowę do wzburzonej piersi.

Pierwsza jego myśl była, że to jeszcze Lola wróciła, otworzywszy jednak oczy, zobaczył Vittorinę. Nie rozumiał co mówiła do niego, z gestu tylko i tonu domyślił się znaczenia słów.

— Nie płacz — prosiła Włoszka — zapomnij o tej kobiecie bez serca. — Chodź ze mną! Ja będę pracować na ciebie, ja cię będę rozweselać. Będę cię kochać i zmarszczki ci wygładzać. Nie wrócisz na północ do tego kraju, gdzie jest takie chmurne niebo. Uciekniemy gdzieś do Włoch i tam żyć będziemy. Nie jestem taka biedna, jak myślisz. Zresztą mam silne ramiona i nie pozwolę, byś cierpiał nędzę.

W illustracji słów tych wyjęła z pod stanika skórzaną torebkę i w niewinnym trybie pokazała mu jej zawartość.

Było tam wszystkiego razem może kilkaset lirów i cieńki złoty łańcuszek ze złotym krzyżykiem.

To były te skarby, na których biedna dziewczyna chciała wybudować przyszłość swoją i jego.

Leon zrazu zupełnie biernie i bezprzytomnie, jak lunatyk poddawał się jej pieszczotom. Teraz jednak, przyszedłszy trochę do siebie, ze wzruszeniem patrzył na to serdeczne współczucie i na tę miłość z tem większą wdzięcznością, że to było przeciwstawienie do niedawnej, a tak bolesnej pogardy ze strony baronowej Wimpfen.

Patrzył więc na nią przyjaznym wejrzeniem, ale ze smutkiem i łagodnie gładząc ją po włosach, odpowiedział:

— Nie mogę pojść z tobą, Vittorino! Dla tamtej kobiety złamałem wierność małżeńską i sumienie nie daje mi spokoju. Upadłem nisko, muszę iść w świat, by własną pracą napowrót móc się oczyścić. Dziękuję ci za twoją miłość, dobra dziewczyno. Będę pamiętał o tobie, jak o aniele, który mi przyniósł pociechę i pomoc w chwili smutku.

I teraz znowu Włoszka nie rozumiała jego słów, ale miłość jej wyczytała w

cudownym uczuciu znaczenie ich z jego smutnych oczu.

Z całym żarem południowej natury upadła mu do nóg i okrywając ręce jego pocałunkami, zaczęła go błagać, żeby z nią uciekł.

Nagle przypomniał sobie Leon, że tej nocy musi odjechać, aby się z baronową znów nie zetknąć.

Zbierając całą swoją znajomość języka włoskiego, rzekł jej:

— Chcę odejść jeszcze tej nocy.

— Tak, pójdziemy razem — zawołała Vittorina z zachwytem, sądziła bowiem, że ją usłyszał.

— Nie, ty musisz pozostać — odpowiedział Leon łamaną włoszczyzną i o ile się to da — przekonywał ją, — to właśnie to będzie uważał za dowód miłości, jeżeli ona zostanie, a jemu ułatwi wyjazd.

Ona zrozumiała wreszcie o co mu chodzi i ponuro patrząc przed siebie, ogromnie blada i z wyrazem rezygnacji, rzekła:

— A więc dobrze — zobaczysz, Leonie, że Vittorina kocha cię na prawdę. Zrobię wszystko, czego żądasz ode mnie.

Nie mówiąc nic więcej, zaczęła pakować jego rzeczy, lecz on wziął dla siebie tylko to, co było kupione za jego własne pieniądze i byłby chętnie baronowej oddał jeszcze tę drobną resztę jej pieniędzy, które miał przy sobie, a'e musiał zachować na podróż.

Postanowił jednak zwrócić jej wszystko, co wziął od niej, tak samo księciu Teschini oddać dług karciany, i własną twardą pracą dorobić się czegoś.

Wprawdzie wykonanie tych planów leżało na dalekim polu, ale samo układanie ich i samo postanowienie dodawało mu otuchy.

Vittorina blada, bez łez, lecz z bolesnym spojrzeniem, przypatrywała się temu, co robił.

Gdy Leon z braterską serdecznością żegnał się z nią, pozwoliła mu się pocałować w czoło, ale sama pozostała zimna jak lód.

Leon nie zauważył jednak wcale, że ona torebkę ze swoimi skarbami wsunęła mu niespostrzeżenie do torebki ręcznej, którą brał ze sobą.

Po cichu wyprowadziła go tylnymi schodami, a gdy wsiadając na gondolę z braterskim uczuciem objął ją, uścisnęła go znowu namiętnie, szepcząc mu gorąco:

— Żegnaj mi najdroższy! Zobaczymy się jeszcze!

To rzekłszy, znikła.

Leon zamyślony siadł na gondolę, a szybkie uderzenia wiosłem oddalały go od hotelu i od miasta pałaców, do którego przed kilkoma tygodniami przyjechał tak pełny miłosnego szczęścia i błogich iluzyj!

Teraz wracał pozbawiony szczęścia nadziei, biedny i zadłużony i z sumieniem obciążonem świadomością grzechu i egzystencji zniszczonej własną winą.



Islandia jest krajem lodowców i gorących źródeł, zwanych gejzerami... Na zdjęciu krajobraz islandzki.

## ROZDZIAŁ C.

### Fatalność

Baronowa nazajutrz zbudziła się bardzo zadowolona. Zaspana jeszcze namyślała się, co to się stało takiego, że taką odczuwa ulgę. Aha! — przypomniała sobie. — Pozbyłam się niewygodnego kochanka.

Przewróciła się na drugi bok i drzemała swobodnie. Stosunek do Leona wydawał jej się teraz jakiemś niewytłumaczonem pociągnięciem. Piękność jego i męskość, pierwotny ogień i naiwność jego uczucia dla niej, co ją tak ku niemu pociągało, teraz straciły wszelki urok, a pamiętała tylko o tem, co ją zraziło do niego:

Niedojrzałość jego charakteru, gwałtowność w wypowiadaniu przekonań i brak zrozumienia dla przywilejów arystokracji.

— Całe szczęście, że na jego dyskrecji można polegać — myślała — on mnie nie zdradzi. Co prawda, byłam wczoraj dla niego trochę za ostra.

Przeproszę go pozornie kilkoma słowami w liście i dołączę mu pieniądze na ukończenie studiów, a mogę śmiało dołączyć wysoką sumę, bo jestem pewna, że jej nie przyjmie. Moja wspaniałomyślność wzruszy go i zapewni mi jego dyskrecję, a tymczasem ja, mogę zacząć nowe życie.

Przez nowe życie, rozumiała nowe miłostki.

Z przyjemnością myślała o arystokratycznej piękności księcia Teschini. Ten prawdziwy arystokrata był godny jej miłości, myślała sobie.

Popijając czekoladę namyślała się, jak napisać do Leona. Pismo miało być pełne godności, ale bez pychy, poważne, ale nie bez uczucia.

Będąc jeszcze w rannym stroju, napisała list, dołączając dwa tysiączki i kazała garderobianie zanieść do pana Waldaua.

— Odpowiedzi nie trzeba — rzekła.

Frania wróciła po chwili z objawami największego przestrachu.

— Niema go — zawołała zadyszana. — Vittorina mówi, że on się musiał w nocy utopić, bo słyszała jakieś straszliwe jęki i plusk, jakby coś wlatywało do kanału.

Rano, gdy przyszła do jego pokoju, zastała okno na wodę otwarte a jego nie było.

— To fatalne! — rzekła Lola niemile dotknięta. — To szczyt bezwzględności z jego strony! Nie miał się gdzie topić, tylko tutaj, żeby mnie skompromitować.

Poszła do jego pokoju i znalazłszy tam rzeczy zaadresowane do siebie, uwierzyła już zupełnie.

Wróciła więc do siebie, spaliła bilet, który napisała do niego; pieniądze włożyła napowrót do kasetki i kazała zawołać właściciela hotelu.

— Signore Spalazzi — rzekła do niego płynnie po włosku. — Sekretarz mój znikł tej nocy, a że cierpiał na melancholię, więc przypuszczam nawet, że odebrał sobie życie.

Gdyby się ludzie o tym dowiedzieli, zaszkodziłoby to bardzo opinii pańskiego hotelu. Nie możnaby tego zamilczeć jakoś, zatuszować?

Gospodarzowi wydało się podejrzanem, że ona tak dba o opinię jego hotelu; nie zdradził się jednak z niczym, tembardziej, że ona właściwie miała rację.

Dziękował jej więc uniżenie i proponował, żeby powiedzieć, że on uciekł, zwłaszcza, że nikt nie widział samobójstwa, a zwłoki z kanału popłynęły pewno do morza.

Kłaniając się uniżenie, wyszedł.

Spokój i pewność siebie, pięknej baronowej uleciały gdzieś bez śladu. Zdawało się wciąż, że słyszy jęki konającego, a w oczach wszystkich czytała wyrzuty morderstwa, szczególnie zaś w oczach Vittoriny.

Odetchnęła z ulgą, gdy jej zameldowano księcia Tischiniego.

Książę z wielkimi ceremoniami, jak zwykle, zapytał o jej powodzenie.

— Źle! — odpowiedziała — od samego rana już mam nieprzyjemności.

— Czy wolno spytać jaka jest przyczyna zmartwienia?

— Właściwie rzecz małej wagi; znikł mi tej nocy mój sekretarz.



Podczas strajku taksówkarzy w Chicago powywracano na ulicach samochody tych wszystkich, którzy nie chcieli brać udziału w akcji strajkowej.

— Aha! — dodał ironicznie książę — i zapewne przez zapomnienie zabrał kasę swej pani.

— To nie — zaprzeczyła żywo baronowa, która nie mogła znieść tego, aby Leona jeszcze teraz niesprawiedliwie hańbić — nie okradł mnie!

Martwi mnie tylko jego czarna niewdzięczność. Miał u mnie najlepszą synekurę; był bez chleba, więc wzięłam go z litości, bo jego rodzice służyli wiernie moim krewnym; i teraz tak mi się za to odwdzięczył — zakończyła uroczyście swoje kłamstwa, które zmierzały do tego, aby księciu okazać jak niewinnym był jej stosunek do sekretarza.

— Tak ludzie są niewdzięczni — odpowiedział tendencyjnie książę. — Nieraz gniewało mnie to, jak wiele życzliwości i pobłażliwości pani okazywała temu ordynarnemu człowiekowi.

— Jestem zanadto dobrotliwa — skarżyła się Lola. — łatwo jest mnie obałamucić. Jeżeli ktoś zaapeluje do mojej wspaniałomyślności, nie mogę mu się oprzeć.

Po śmierci mego męża jestem opuszczona i nie mam się o kogo oprzeć. Szukałam nie raz rady dobrego przyjaciela, ale nikt dotychczas nie wydawał mi się godnym mego zaufania.

Czy nie zechciałbyś książę, zostać przyjacielem i doradcą samotnej kobiety? Nie poskąpi mi książę porady i pomocy?

To rzekłszy, wyciągnęła ku niemu drobne rączki, w nadziei, że on pochwyci je i zacznie okrywać pocałunkami, ale on skłonił się tylko sztywnie nad podanemi rękami.

— Pani baronowo — odparł z uszanowaniem — jestem wprost zrozpaczony, że nie mogę przyjąć tak cennego zaufania, gdyż drogi nasze się rozchodzą.

Przyszedłem właśnie, aby się pożegnać, gdyż dziś jeszcze wieczorem udaję się do Rzymu, gdzie się mają odbyć w tych dniach moje zaręczyny z księżną Teresiną del Monte.

Lola pod wrażeniem tej nieoczekiwanej odpowiedzi zbladła z wściekłości i zmusiła się do uśmiechu.

— Co za przyjemna niespodzianka! — kłamała — serdecznie winszuję księciu.

Rozmowa trwała jeszcze kilka minut i książę pożegnał się i wyszedł.

Teraz dopiero Lola użyła swojej długo tłumionej złości.

Położyła się na kanapę, zgrzytała zębami i płakała z wściekłości.

Gdy Anastazja weszła do pokoju zdziwiła się nie mało.

Baronowa bowiem zerwała się i zawołała z najwyższą furją:

— Pakować mi natychmiast rzeczy. Wyjeżdżamy z tej przeklętej Wenecji.

## ROZDZIAŁ CI.

### Jasnowidząca

Werner chwiał się między trwogą a nadzieją. Nie wątpił w szczerość Ignacego, ale w to, czy mu się uda coś zdziałać.

Liczył więc trwożnie sekundy do powrotu i z każdą upływającą chwilą cierpienia jego rosły.

Tymczasem Ignacy wisiał rzeczywiście między niebem a ziemią. Wprawdzie miał na sobie dwie kurtki i worek na tem, lecz ostry dziób sępa prędko dał sobie radę i wnet uczuł młody cygan, jak mu się ostrze wpijają w ciało.

Położenie jego było wprost rozpaczliwe. Nie mógł myśleć o tem, żeby nawet jedną ręką puścić się krzaków i chwycić sępa, bo i tak siły go już opuszczały i zleciałby w przepaść.

Jedynym schronieniem twarzy było to, że między ramiona ukrył głowę przed ostrym dziobem drapieżnego ptaka.

Tymczasem Alojzy usłyszał rozpaczliwy jego krzyk i żal mu się zrobiło biednego chłopca. Szepnął więc Ilonie, że mu go żal i chciałby go uratować, jeżeli przyrzeknie, że będzie milczał.

— Przyrzeknie, ale nie dotrzyma — złościła się młoda cyganka — jeżeli ci go żal, zastrzel go, przyniosę ci strzelbę.

Rzeczywiście przyniosła mu broń i Alojzy z ukrycia wśród krzaków strzelił.

Nie wiadomo, czy naumyślnie, czy przypadkowo trafił nie chłopca, ale sępa. Ptak wydał chrapliwy jakiś krzyk, uderzył skrzydłami i spadł w głęboką otchłań.

Śmierć napastnika wróciła trochę sił na pół zemdlałemu cyganowi.

Zaczął więc na nowo wołać o pomoc, tak rozdzierającym głosem, że rozpacz jego byłaby wzruszyła nieludzkiego Alojzego. Ale Ilona widząc, że on mięknie, wzięła go za rękę i pociągnęła go tak daleko od przepaści, że nie słyszał już głosu nieszczęśliwego młodego cygana.

— Co się zaczyna — rzekła twardym głosem — to trzeba skończyć.

— Do diabła, dziewczyno — krzyknął Alojzy — czy ty nie masz serca, nie litujesz się nad tym biednym chłopcem?

— Nigdy się nad nikim nie litowałam — odpowiedziała z szatańską jakąś obojętnością — chodź do zamku, muszę z tobą pomówić.

Alojzy jednak czuł straszne wyrzuty sumienia i wróciwszy do domu, przyniósł z piwnicy dzban wina, aby je zagłuszyć.

Ilona dołożyła chrustu na ogień i gdy płomień buchnął, wesoło rzekła do Alojzego:

— Ona nie powinna zostać w tej okolicy.

Alojzy domyślił się natychmiast, że cyganka mówi o Sylwii.

— Czy mam ją zamordować — jęknął — ona nigdy mi nic złego nie uczyniła.

— I ja także nie mam do niej urazy — odpowiedziała Ilona ze straszliwą obojętnością — ale musimy się jej pozbyć przynajmniej z tej okolicy, bo tak samo jak on, ten chłopiec znalazł hrabiego, może go znaleźć i ona.

— Jak to z tej okolicy można by się ją pozbyć? — rzekł kasztelan. — Powiedz, jeżeliś taka mądra, bo ja nie wiem.

— Za kilka dni ci powiem — odparła — muszę się namyślić.

Gdy odchodziła, patrzył na nią z miłością — lecz nagle wstręt odczuł dla niej.

Nie przypuszczał, aby kobieta mogła mieć tak twarde serce, a jemu w uszach brzmiały jeszcze przeraźliwe krzyki biednego chłopca, wtedy ona już myślała o nowych zbrodniach.

— Ona jest straszna — myślał — teraz wróci między swoich, jak gdyby o niczem nie wiedziała, a jak zobaczą, że Ignacego niema to ona zupełnie niewinnie będzie się pytać o niego. Będzie jeść i sypiać jak zwykle, a ja — mój Boże! Ja już nigdy nie będę miał spokoju.

Zakrył twarz rękoma i straszliwy jęk wyrwał mu się z piersi.

— Pójdę do karczmy — stęknął — między ludzi, boję się sam, bo on przyjdzie o północy zemścić się na mnie. Pójdę się upić.

— Nie śmiem się upić — pomyślał — bo się wygadam.

Mimowoli spojrzał w lustro i przestraszył się wyrazem swej twarzy.

— Na czole mam wypisane piętno „zbój“. Wolałbym leżeć teraz z rozstrzaskanym łbem na dnie przepaści.

Straszliwy niepokój wypędził go z domu. Błąkał się przez długi czas, aż wreszcie magnetyczna jakaś siła pociągnęła go na miejsce haniebnej zbrodni. Spojrzał w dół.

Na dnie przepaści z rozpostartymi skrzydłami leżał sęp, ale trupa nieszczęśliwego chłopca nie było.

Alojzy zdziwił się i pomyślał, że może trup leży gdzieś za krzakami i dlatego nie może go zobaczyć. Chciał zmówić pacierz za jego duszę, ale słowa uwięzły mu w gardle.

— — — — — —

Podczas gdy Alojzy dręczył się wyrzutami sumienia — rozegrała się w obozie cygańskim nader piękna scena.

Irena dzień przedtem przepowiadała przyszłość jakiejś kobiecie, przy czym odurzona dymem korzeni, jakie podczas tego paliła, zemdlała.

Położono ją na jej łożu, gdzie leżała blada, jak trup. Około południa zerwała się z szeroko rozwartymi oczyma.

— Czy nie słyszycie, jak on woła o pomoc — zawołała.

— Mówi przez sen — rzekła Tara.

Spytała ją jednak:

— Kto woła o pomoc?

— Ignacy jest w wielkim niebezpieczeństwie — rzekła Irena.

— Prowadź nas do niego — zawołał jakiś chłopiec — pomożemy mu.

Nie odpowiadając; wstała Irena i wolnym krokiem poprowadziła ich w kierunku przepaści. Połowa bandy cygańskiej szła za nią z ciekawości.

Przybywszy nad przepaść, usłyszeli straszliwe nawoływanie Ignacego o pomoc, a gdy spojrzeli w dół, ujrzeli straszny obraz.

Na skarłowaciałym krzaku sosnowym uczepiony wisiał Ignacy. Blady był i zmieniony nie do poznania. Oczy patrzyły jak u obłąkanego a włosy posiwiały mu zupełnie w tych strasznych godzinach cierpienia.

Nie było czasu wracać do obozu po sznury, gdyż Ignacy mógł tymczasem zlecieć. Obecne więc kobiety zdjęły suknie, z których sporządzono sznur i spuszczono mu na dół.

Nieszczęśliwy chłopiec zachowywał się przy tym jakoś bardzo dziwnie.

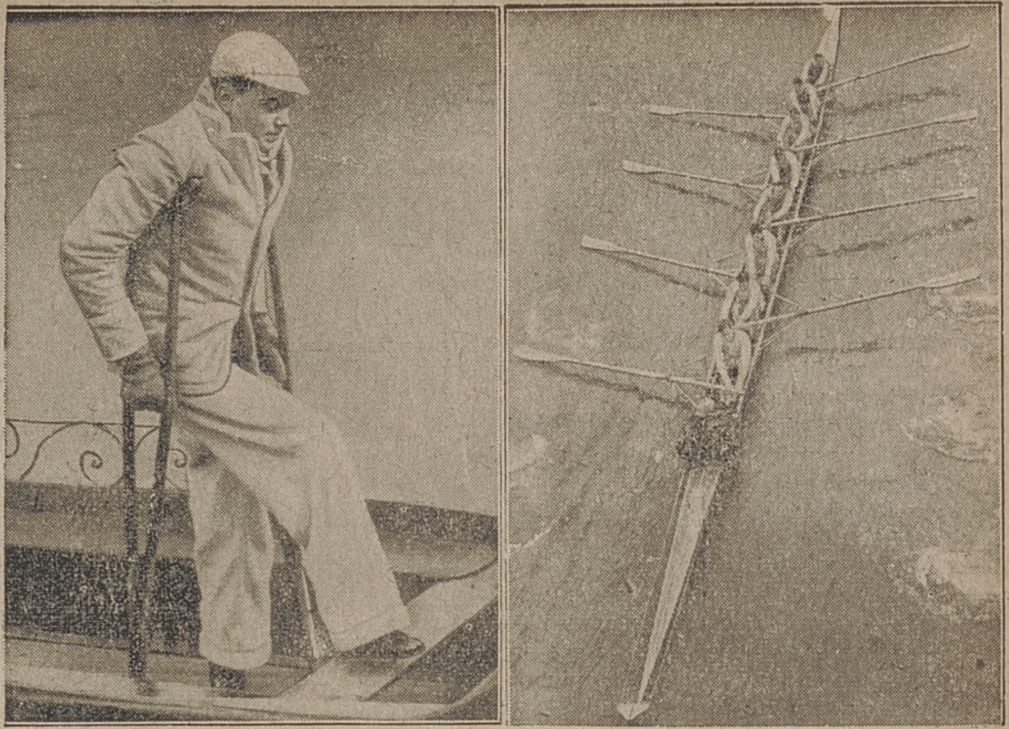
Patrzył on w górę z głupkowatym uśmiechem, a gdy mu spuszczono powróz w celu ratunku, nie chwycił go wcale.

Dopiero po długiej chwili zrozumiał nareszcie biedak o co chodzi, chwycił się lewą ręką przywiązanej do powrozu gałęzi i okręcił sobie powróz naokoło ciała. Wciąż jednak jeszcze trzymał się kurczowo drugą ręką krzaka.

— Puszczaj, wyciągamy cię — krzyknął mu z góry jakiś cygan.

Puszczaj, wyciągamy — powtórzył Ignacy z obłąkanym uśmiechem.

Nie pomogły prośby, ani wołania z góry. — Ignacy nie puścił. Nareszcie jeden chłopak cygański chwycił się takiego środka, że celnym rzutem cisnął mu ostry kamień na rękę. Ignacy puścił krzaki i tę chwilę wykorzystali cyganie, żeby go ostrożnie wyciągnąć na górę.



Co roku odbywają się na Tamizie w Anglii regaty wioślarskie, do których stają załogi słynnych uniwersytetów Oxford i Cambridge. Zdjęcie nasze przedstawia „ósemkę“ z Cambridge oraz sternika, który z powodu braku nogi, chodzić musi o kulach.

Cyganie złożyli go delikatnie na mchu, dali mu prowizoryczny opatrunek na rany, zadane dziobem olbrzymiego sępa, sporządzili z gałęzi nosze i zanieśli go do swego obozu, dokąd równocześnie Irenę wciąż jeszcze nieprzytomną, zaprowadziły dwie Cyganki.

Cyganie zauważyli, że kładka nad przepaścią podeżnięta była piłą i łamali sobie głowy, kto to zrobił.

Ignacemy Tara winem zmyła rany i starannie go obandażowała.

— Czy on umrze? — spytała dziewczyna, która pomagała Tarze.

— To nie, lecz obawiam się, że mu rozum już nie wróci — rzekła Tara.

— A kiedy my wyruszymy na zimowe leże? — spytała dziewczyna.

— Jutro. Jednak kilku z plemienia musi zostać i o niego dbać — odparła Tara.

— Nie wiem, czy kto się zgodzi pozostać tu — mówiła dziewczyna.

— Ja zostanę przy nim — ofiarowywała Ilona swe usługi i niespostrzeżona przez kobiety, weszła do namiotu.

Gdy przybyła do obozu i dowiedziała się, że cygan został uratowany, skamieniała ze strachu, wiedziała bowiem, że czeka ją straszliwa kara ze strony dziadka za uwięzienie Wernera.

To też ciężki kamień spadł jej ze serca, gdy się dowiedziała, że chłopak jest obłąkany i do tego jeszcze jak się zdaje nieuleczalnie.

Postanowiła więc wszelkie ślady podejrzenia odwrócić od siebie właśnie tym, że ofiarowała się Ignacego pielęgnować.

Jeszcze w jednej rzeczy los jej się równocześnie przysłużył.

Chciała ona zostać w tej okolicy, ale wiedziała, że dziadek jej na to nie pozwoli i choć bała się go bardzo, postanowiła pozostać wbrew jego woli — potajemnie.

Teraz miała pozory, które przemawiały za nią i nie potrzebowała się już obawiać kary strasznego dziadka.

## ROZDZIAŁ CII

### Pająk rozpina sieci

Janka nie była złą dziewczyną i gdyby jej baron Egon był powiedział o co chodzi, byłaby mu odmówiła pomocy.

On jednak wiedział o tym bardzo dobrze i właśnie dlatego nic jej o niczym nie wspominał tylko dał jej pieniądze.

Janka nazajutrz rano płaciła długi i robiła zakupy tak, że gdy po południu o godzinie 4-ej wchodziła do cukierni Periniego, miała jeszcze w całym majątku guldena i 10 centów.

Siadła na czerwonym, pluszowym krześle, zamówiła sobie filiżankę czekolady z babką. — Popijając powoli, czekała na Egona i skracając sobie czas, rozglądała się po lokalu.

Od czasu do czasu kłaniała się jakiejś damie, której rzucający się w oczy strój i wyzywające spojrzenia mówiły wyraźnie z jakiej pochodzi sfery.

Od czasu do czasu odpowiadała na niedbały ukłon jakiegoś pana błogim uśmiechem, ale koniec końcem nudziła się ogromnie i przybycie Egona powitała z prawdziwą radością.

On jednak zanadto był ostrożny, aby się w dużej sali przyznawać do niej, a do tego na kilka tygodni przed weselem.

Baron zapytał tylko kelnera, czy jest wolna jaka seperatka.

— Do usług jaśnie pana barona — odpowiedział kelner.

Egon zmarszczył brwi, było to dla niego bardzo niewygodne, że jego kelner znał. Ale że od tego nie był bezpieczny i w innych lokalach, więc postanowił tu zostać, skinął nieznacznie gło-

wą na Jankę i poszedł do seperatki. Kazał więc podać sobie wspaniałą zastawę, która uśmierzyła nieco gniew Janki, za pogardliwe obejście się z nią w dużej sali.

Gdy skończyła zajadać, zapytał, czy życzy sobie jeszcze czegoś.

— Hohoho — odpowiedziała Janka — dziesięć arkuszy papieru konceptowego zapisałabym tym, co sobie życzę.

— No, to pomówimy jeszcze kiedy o tym — rzekł Egon, który wcale nie miał ochoty spełniać wszelkich jej życzeń.

— Czy nie byłaś kiedy artystką? — rzekł, przypominając sobie, aby odwrócić rozmowę.

— Byłam, ale dyrektor nie chciał mnie i dawał mi zawsze tylko gorsze rolę. Na szczęście poznałam księcia Iffalwiego i byłoby mi zupełnie dobrze, gdyby nie to, że jakaś intrygantka wciągnęła go w swoje sidła. Znalazłam jednak bogatego barona, który zaraz ujął się za moją krzywdę i hojnie dbał o moje potrzeby. Niestety, ten dobry człowiek stracił wnet majątek, musiałam sobie nowego szukać protektora.

— Co? Dotychczas miałaś dopiero trzech kochanków? — zapytał Egon ogromnie zdziwiony — kto bo ci wierzył.

— Może zapomniałam jednego albo dwóch wymienić, ale cóż, nie mogę przecież spamiętać wszystkich. A teraz, niech pan powie, co to za żart, który mamy wspólnie wykonać?

— Chodzi o to, abyś ze stacji kolejowej odprowadziła jedną damę i przez 10 minut udawała nic nieznaczącą, skromną szwaczkę. Musisz mieć także skromną sukienkę, nadającą się do tego.

Janka miała skromną garderobę, lecz uważała za najdogodniejsze, udać, że nic ma.

— Więc musisz sobie kupić czarną albo popielatą suknię, płaszcz jesienny i skromny kapelusz.

— Ha, ha! — zaśmiała się Janka — wie pan, panie baronie, wiele mam w moim majątku? Guldera i 10 centów.

Egon ze złością rzucił jej 50 guldenów.

— Czy to wystarczy? — spytała.

— Musi wystarczyć — rzekł opryskliwie Egon — kup zaraz i przyjdź tu w tym stroju, abym widział, czy mądrze kupiłaś.

— Nawet nie dostanę za te pieniądze — odparła Janka.

— Więc kup trochę używane — odpowiedział baron. — Ale idź prędko i nie daj mi długo czekać na siebie.

— Wrócę za godzinę.

Naciągnęła rękawiczki i odeszła zadowolona, że tak tanim kosztem zarobiła 50 reńskich. W domu miała skromny ubiór: kapelusz pożyczyła sobie u gospodyni, pieniądze schowała do kufra i wróciła do barona.

— No, cóż? — spytała — nie wyglądam jak solidna szwaczka?

— Ujdzie, odpowiedział Egon — ale na puder i bianż jutro będziesz musiała zrezygnować. Tutaj masz zapisane pociągi, przy których masz być. Na dworcu znajdziesz pannę, która będzie trzymała w ręku list i różę.



Hodowla królików — to źródło wielu radości dla dzieci...

Przystąpisz do niej i spytasz się, czy mam zaszczyt mówić z panną Herbert? Jeżeli odpowie tak, to będzie ta sama. Zaprowadzisz ją do powozu, gdzie przyłączy się do was jakiś starszy pan i otworzy powóz, przeznaczony dla niej. Skoro ona wsiądzie do powozu, pan ten zamknie drzwiczki i powóz ruszy, a ty jesteś wolna.

Nie widzę w tym nic żartobliwego! — zawołała Janka.

— Nie chodzi tu o to, abyś ty rozumiała o co się rozchodzi — odpowiedział Egon brutalnie.

— Nie, ja nie chcę — rzekła energicznie Janka — Bóg wie, co pan chce zrobić z tą biedną dziewczyną. Ja nie chcę maczać rąk w tym. Niech pan sobie poszuka kogoś innego. Nie jestem także święta, ale Bóg widzi, że tak złą nie jestem, abym miała biedną dziewczynę przyprawiać o zgubę.

W takim razie oddaj mi moich 150 reńskich — rzekł Egon, pieniąc się ze złości.

— Nie mam — odpowiedziała z rozpaczą.

— Aha, to pieniądze brać umiesz, a później, gdy trzeba robić, to się wycofujesz. Nie masz? To powiem staremu Haiowi jak wszystko było, a on już się postara o to, aby miał swoje pieniądze. Musisz mi oddać co do jednego centa.

Na myśl o tym, że Hai się dowie o wszystkim, Janka zatrwożyła się. Bała się go i byłaby z nim dawno zerwała, ale odczuwała przed nim jakąś zabobonną trwogę.

Przyrzekła więc, że zrobi wszystko, byleby ją tylko nie zdradził.

Egon odpowiedział jej raz jeszcze, jak Sylwia wygląda.

— Jeżeli się będzie pytała o hrabiego — objaśniał ją — powiesz jej, że ma się dobrze i że ją oczekuje z niecierpliwością. Jeżeli się zapyta, czy daleko do zakładu, to powiedz, że nie całe dwie mile.

— Dobrze — szepnęła Janka.

— Gdybyś mnie zdradziła — dodał z ponurym wejrzeniem — zginiesz! — Śledził cię będę nieustannie.

Janka zadrżała pod jego wzrokiem. Nie wątpiła w spełnienie groźby, a śmierci bała się okropnie.

— A jeżeli ona nie przyjedzie jutro? — spytała słabym głosem.

— To musisz jeszcze przez dwa dni chodzić do każdego pociągu!

Janka pożegnała się, przeklinając w duchu łatwowierność, z jaką dała się złapać Egonowi i życząc sobie, aby Sylwia nie przyjechała. Wreszcie cała jej złość zwróciła się przeciwko Haiowi.

Gdyby on nie był taki skąpy! — pomyślała — nie byłoby tego wszystkiego.

W domu zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej sprzedać wszystko co ma i oddać Egonowi pieniądze. Ale wszystkie jej ruchomości, nie warte były więcej niż 50 reńskich.

Przypadkowo spojrzała w lustro i zauważyła, że wygląda bardzo przyzwoicie i skromnie w stroju, który miała na sobie.

Mogła więc udać się do Haia tym bardziej, że on w tej części miasta był prezesem spraw dla ubogich, i spraw dobroczynności. W stroju tym mogła udawać, że przychodzi po zapomogę dla jakiejś ubogiej niewiasty.

Przybywszy do apteki, spytała skromnie:

— Czy zastałam pana prezesa?

Hai przed chwilą właśnie otrzymał telegram z Frankfurtu i wydał rozkaz,

(Ciąg dalszy na stronie 297.)

# Kraina szczerości i naszych trosk

**Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu**

## Dobre rady p. Zofii

Pewnego dnia ktoś rzucił w „Krainie" projekt zamieszczenia mojej fotografii, ktoś drugi krzyknął — „nie, nie godzę się na to!" — i od tej chwili zawrzało i zakotłowało się od protestów w naszym cichym kąciku. „Kraina" rozpadła się na dwa obozy: afirmatywny i opozycyjny.

W związku z tym otrzymuję codziennie dziesiątki listów, wypowiadających się to za jednym, to za drugim obozem. Listów tych, nie sposób zamieszczać ze względu na ich olbrzymią ilość, dlatego postanowiłam sobie notować skrupulatnie każde „nie" i „tak" i po upływie pewnego czasu rozstrzygnąć komplikującą się sprawę większością głosów.

Cierpliwości zatem, Drodzy Sympatycy, gdyż przyjdzie dzień, w którym węzeł gordyjski zostanie rozwiązany i na łamach „Krainy" ukażą się pseudonimy, względnie nazwiska wszystkich tych, którzy brali udział w głosowaniu. Zofia.

### MOŻE SIĘ WYWIĄZAĆ CIEKAWA DYSKUSJA

*„Niestrudzony wędrowiec"*. List Pana był jednym z najbardziej wartościowych, jakie otrzymałam ostatnio. Proszę mi nie brać tego za złe, że bez pozwolenia przedrukuję tę część jego, która zainteresować może wiele Czytelniczek i Czytelników — i na pewno wywoła niejedno echo:

„W szarzyźnie monotonnie płynących dni zdarzają się momenty, które niby błysk jasny rozświetlają życie, napawając duszę jakimś ciepłem, ryjąc w niej niezatarte wspomnienia czegoś piękniejszego i wznioślejszego od naszych trosk codziennych. My jednak miast pieścić w sobie te olśnienia i drgnienia duszy naszej na piękno, zaabsorbowani walką o byt, często karierą, przechodzimy nad nimi obojętnie tak długo, aż resonans wywoła w nas conajwyżej powodzenie materialne. I dopiero wtedy, gdy serce zapali, gdy spotkają nas rozczarowania i nieoczekiwane może doświadczenia — zagłębiamy się w siebie i pytamy: po co to wszystko? Czyż życie takie jak moje przedstawia jakąkolwiek wartość? I wtedy dopiero rodzi się tęsknota za życiem innym, pełniejszym, życiem, w którym pogodzić będziemy umieli nasze obowiązki z potrzebami intelektualnymi, z potrzebami ducha. W takich chwilach chyba każdy postanawia zmienić się, nie być tylko nakręconą marionetką, która za przykładem innych traci siły i zdrowie w pogoni za urojonym szczęściem — pieniądzem. A przecież dobrobyt materialny — to nie wszystko! Są inne ważniejsze rzeczy! Któż z nas jednak nie przyzna, że pieniądz stał się potęgą, o którą załamują się najszlachetniejsze porywy. Bo niech ktoś spróbuje walczyć, płynąć przeciw prądowi, a zdepcą go ludzie i zdepce życie. Nieliczni tylko nie ulegną, reszta zawróci i pójdzie za innymi. Jednak ci pierwsi szczególnie wtedy, gdy zbraknie pracy i chleba rychło spostrzegą, że wyrzuceni poza nawias społeczeństwa, tylko zawadzają innym, są niepotrzebni. A oni chcą pracować, być użytecznymi! Zagadnienie kryzysu — to rzecz straszna nie dla tych sytych i zadowolonych z siebie, ale dla tych z ulicy, dla tych niepotrzebnych. Rodzice chcąc zrobić z ciebie człowieka godnego tej nazwy i dobrego obywatela — nie szczędzili pracy ni trudów, byleś ty poszedł w umiłowanym kierunku, stając się później i użytecznym i szczęśliwym. Tyś zdobył maturę, a może nawet często nieużyteczny świstek — dyplom i oto okazujesz się niepotrzebnym. Może znalazłeś chwilowe zajęcie, ale gdy ono n. p. skończy się za miesiąc — cóż wtedy? Wszelkie starania rozbijają się albo o to, że pracy rzeczywiście nie ma, albo o złość i zawiść ludzką, nawet o jedną fałszywą opinię. Dlaczego ludzie miast ułatwiać sobie nawet nie życie, a wegetację — utrudniają i goryczą ją napawają? Wiem, że nawet w najgorszym człowieku drzemią pierwiastki dobra, drzemie okryta często na dnie, pod zimną, grubą powłoką — iskra, którą tylko rozniecić, a zapłonie jasnym, strzelistym płomieniem. Ja za to mimo wszystko jeszcze wierzę, jeszcze chcę wierzyć...

A teraz sprawa, która tyle zainteresowania budzi wśród Czytelniczek i Czytelników. Znów dosłownie zamieszczę opinię Pana w kwestii umieszczenia mojej fotografii na łamach „M. Powieści".

„Patrząc obiektywnie — sądzę, że trochę racji ma tak jeden jak i drugi obóz. Ponieważ jednak my — z „Krainy" wszyscy kochamy i cenimy Panią Zofię — uważam, że pragnieniem naszym powinno być jeśli nie poznanie, to choćby życzenie tej, która potrafi i zrozumieć i pocieszyć i nawet w złych chwilach zachować pogodę ducha, zawsze kierując się prawdą, że wobec cierpień milionów bledną troski i zawody każdego z nas. Ceniąc dobroć i piękno nie patrzymy na nie tylko z oddalenia, boć taki podziw z perspektywy nie wpłynie na uszlachetnienie duszy naszej... Niektórzy z czytelników „Krainy" obawiają się rozczarowania. Niechże są pewni, że uczucia prawdziwie piękne odzwierciadlają się i na rysach twarzy, która choćby nie przypominała marmurowego, ale zimnego piękna — promienieje światłem walorów duszy..."

Zabrał Pan dziś — właściwie z mojej „winy" — najwięcej miejsca w „Krainie"... ale jeszcze muszę dodać trochę. Chcę Panu jak najserdeczniej podziękować za życzenia. Onieśmiela mię to, że zbyt pochlebnie mię Pan sądzi...

### WZRUSZONA JESTEM...

*„Młody Sympatyk"*. W taki miły sposób określił Pan moją pracę; w zdaniach Pana jest tyle życzliwości i szczerej sympatii dla mnie, dla naszego pisma, że wzruszona jestem poprostu tym uznaniem. Przyjmuję Pana do „Krainy" jak najchętniej i przedstawiam naszym miłym Paniom i Panom:

„Młody Sympatyk" jest blondynem, średniego wzrostu. Na świat patrzy śmiało i odważnie i jest stuprocentowym optymistą. Lubi spędzać wolne chwile w ulubionej altance i marzyć o kimś nieznanym, a kochanym. Lubi miasto — przy czym szczególną sympatią darzy kino i teatr — kocha wieś i umie wczuć się głęboko w jej piękno i ciszę. Czy znajdą się miłe Panie, które zechcą poświęcić kilka ciepłych słów „Młodemu Sympatykowi?" Teraz oddaję Panu głos:

„Halo!" „Zrównoważony"! Jeżeli Pan pragnie nawiązać ze mną kontakt korespondencyjny — zgadzam się chętnie. Niech Pan proszę napisze pierwszy.

Zarazem pozdrawiam „Rozkoszną dziewczynkę" — „Echo wsi" — oraz wszystkich członków naszej „Krainy" i proszę o listy. Każdemu dam szybko odpowiedź. Listy proszę kierować na poste — restante Bydgoszcz 5 — dla „Młodziana".

### ŻYCZĘ WIELU MIŁYCH LISTÓW

*„Blondynek z Pałuk"* pisze: „Fatum życiowe zagnało mnie do powiatowego wprawdzie, lecz małego miasteczka na dalekiej prowincji, gdzie oprócz muzyki i śpiewu z kolegami nie mam żadnej rozrywki. Wobec tego apeluję do naszej rodzinki o wymianę myśli i wypełnienie monotonnego życia."

„Podszamotulanko" — znam dokładnie te strony i często tam bywam, czy nie zechciałabyś nawiązać ze mną nić korespondencji? Czekam na jakiś odzew.

„Niebieskooka Zinko" — już widziałem Twe oczy.

„Białej Uajali" zasyłam milutkie „Pa"!

„Dziewczęciu z Kujaw" odwzajemniam pozdrowienia. Może napisze Pani pierwsza?

Również zasyłam pozdrowienia „Czarnulce z Grudziądza", „Pomorzance", „Melanii", „Ryśce D.", „Zapomnianej Sylenie", „Dzince", „Maruszce".

„Ikarze III" — tu twój przyjaciel „Nokturn". Czy wypełniłeś Twe zamiary?

„Zdobywca serc" — dziękuję za pozdrowienia i również je odwzajemniam.

Przedrukowałam prawie cały list Pana i życzę Mu wiele miłych listów.

### SYZYFOWA PRACA...

Co robić, by smutkom nie dać się ponieść,
Nie poddać się zwątpień niebezpiecznej fali?
— Nie wystarczy pracą utrudzić dłonie,
W małym kręgu serca zamknąć ciasno żale...
Dłonie opadają często bezsilnie,
A żale zagłuszyć — syzyfowa praca...
— — — — —
Drogę wyznaczoną nam nieomylnie,
Przejść trza w trudzie całą. Daremna chęć — zbaczać.

*Danuta Wyrybkowska.*

### ŻEGNAJCIE...

*„Jaśka"* — *„Samotna Dzidzi"* przesyła serdeczne pozdrowienia wszystkim zrzeszonym w Rodzince. „Bajce" ślę serdeczne podziękowanie za liścik, chętnie dałabym odpowiedź, ale adres nieczytelny.

Gorące uściski dla „Czarnulki z Świecia", „Słodkiej Gildy", „Milutkiej Krzysi", „Elżuni z Torunia". Spóźnione, lecz szczere życzenia imieninowe dla „Syna Dniestru" z zapytaniem, czy czyta jeszcze „Moje Powieści".

Podziękowania za przesłane pozdrowienia i słowa pociechy ślę — „Złocistemu Promyczkowi", „Smutnej Iwonce", „Szarotce" „Rozpieszczonej Kotce", Mixerowi" — oraz wszystkim moim Sympatykom, których nie wymieniłam może. Żegnajcie Moi Drodzy, bo wycofuję się z „Krainy" pod powyższym pseudonimem. Może kiedyś wrócę do Was, bo „Moje Powieści" wiernie czytać będę. Przeżyłam dużo złego w dwóch latach samodzielnej pracy. Piszę do Was w okresie, gdy przyroda z wiosną budzi się do nowego życia. I ja chcę życie zmienić, więc, aby mi tych strasznych chwil nie przypominało, zrzucam te pseudonimy i nie długo może powrócę do Was, lecz pełna innego, nowego życia.

### WARTO NAPISAĆ...

*„Miły blondynek"*, to nowy gość w „Krainie". Czy naprawdę miły? — najlepiej dowie się o tem ta osoba, która, zainteresowawszy się tym 26-letnim (zdradzam bez pozwolenia!) młodzieńcem, napisze do Niego. A warto to zrobić, bo obiecana jest obszerna odpowiedź!

„Miły blondynek" zasyła pozdrowienia wszystkim Paniom z „Krainy szczerości" — specjalnie wyróżniając jednak: „Wesołą Zosię", „Słodką Danusię", „Dziewczynkę z Rogoźna", „Rozpieszczoną Kotkę", „Maryśkę" i „Stenię".

### JAKIE PLONY NA WIOSNĘ?

*„Maleńka Dzidzi"*. Nareszcie dziś mam okazję napisać do mojej miłej Dziewczynki choć kilkanaście słów. Ciekawa jestem, jakie plany na wiosnę robi Dzielna Sportsmenka? Znów mecze, mecze, mecze?... Mogę zdradzić, że Wujek Janusz oczekuje jakiegoś nastrojowego listu o wiośnie...

Serdecznie pozdrawiam — i oczekuję długiego listu!

### „ZŁOTE SŁONECZKO" ZAŚWIECIŁO...

*„Złote słoneczko"* zakrada się z nastaniem wiosny do „Krainy". Uśmiechnijmy się do niego — jest takie dobre i jasne, jak prawdziwe słoneczko! Oto, co pisze do mnie: „Wszyscy ziębnięci, którzy pragnęliby się ogrzać, niech napiszą, a „Złote słoneczko" rozgrzeje ich zimne serduszka".

### CZĘSTO WSPOMINAMY

*„Henia ze Lwówka"*. Często wspominamy w redakcji miłe wizyty Pani. List ucieszył nas bardzo — choć dość długo na niego czekaliśmy. Zresztą, jest Pani zupełnie usprawiedliwiona! —

Cieszę się bardzo, że Żnin pozostawił tak miłe wspomnienia i że Pani była więcej, niż zadowolona, z pobytu. Kiedy znów Pani przyjedzie?

Serdecznie Panią pozdrawiam.

## WOŁANIE...

Jeśli jesteś w duchowej rozterce
i nie wiesz — co czynić masz... —
Jeśli krwią broczy twe serce...
— Zmów Ojcze Nasz...!

Wiedz, że Bóg słów twych wysłucha...
skoro iskrę Wiary w sobie masz...
Jeśli krwią broczy twe serce...
— Zmów Ojcze Nasz...!

*Jan Feliks Płóciennik.*

## ŻYCZĘ...

*„Uwięziona Księżniczka"*. Życzę Ci, Kochana Dziewczynko, by korespondencja nawiązana przyniosła Ci dużo dobrych, jasnych chwil i dużo serdecznych uśmiechów szczęścia...
Za życzenia miłe i pozdrowienia — dziękuję serdecznie. Z zaciekawieniem oczekuję następnego listu.

## MAM TROCHĘ ŻALU...

*„Zew Chiński"*. Jak to miło, że napisała mi znów Pani liścik, tylko dlaczego taki krótki? Czyż naprawdę nie starczyło już cennego czasu na zapełnienie nawet tych małych stron? Czyż nic nie mogła Pani napisać mi o sobie?
List oczywiście skierowałam pod właściwy adres i życzę miłej odpowiedzi. A teraz — apel Pani do Czytelników:
„Tu — Ryszardzie"! Zainteresowałam się Panem!
„Wesoły Człowieku"! Ależ naturalnie! Z przyjemnością podyskutuję z Panem. List już otrzymałam, na który też dałam odpowiedź.
„Mixerze"! Dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam".

## Z POGRANICZA CZECHOSŁOWACKIEGO

*„Dziewczę z nad brzegów Olzy"* — mieszka u stóp gór Beskidu Zachodniego, „w prześlicznej krainie baśni naszego Starego Śląska Cieszyńskiego" — jak pisze. „Krainę szczerości" zna dobrze, bo od długiego już czasu jest czytelniczką „Moich Powieści", i tak jest zainteresowana wielu osobami, które pisują do mnie, że chciałaby znaleźć się sama w naszym gronie. Oczywiście przyjmiemy ją bardzo chętnie, prawda? A kto pierwszy napisze?
Echo gór beskidskich — niesie zdala najmilsze pozdrowienia od „Dziewczęcia z przed brzegów Olzy" dla wszystkich Czytelniczek i Czytelników...

## POZDROWIENIA Z ZIEMI KUJAWSKIEJ

*„Prometeusz"*. W liście Pana specjalnie ujęło mię głębokie przywiązanie, jakie ma Pan do swej rodzinnej, nad wszystko ukochanej ziemi kujawskiej. Wszystkim Polakom jest nam ona drogą — choćby przez pamięć wielkich jej synów — Kasprowicza, Przybyszewskiego i in. Nie wątpię, że wśród Czytelniczek i Czytelników znajdą się Kujawiacy rodowici — i chętnie nawiążą nić przyjaźni z Panem drogą korespondencji.
Do „biografii" „Prometeusza" muszę dodać, że lubi on wszelkie sporty — i ciekawe przygody.
Spełniając ostatnie życzenie Pana, przesyłam w imieniu Pana pozdrowienia wszystkim Czytelniczkom „Moich Powieści" z Kujaw oraz „Słodkiej Maruszce" i „Dumce".

## ZROZUMIEM...

*„Lili"*. Witam Cię „Lili" w naszej ogromnej „Kraince", witam w przekonaniu, że z miejsca zdobędziesz sympatię i życzliwość wszystkich Czytelniczek i Czytelników „M. Powieści", tak, jak zdobyłaś moją przyjaźń pierwszym Swoim listem. Ty wiesz, Przemiła „Lilu", że możesz mieć do mnie pełne zaufanie; nie wydrwię Cię, nie wyśmieję, lecz z szczerą radością przyjmę Twoje wynurzenia, zrozumię, i postaram się pomóc, w miarę możności. Ściskam Pani dłoń, „Lili" i czekam wiadomości.

## ZMIENIŁAM

*„Rewelers"*. Adres Pana zmieniłam. Łączę miłe pozdrowienia.

## TROCHĘ WIADOMOŚCI O SOBIE...

„Halo! wszystkie rozgłośnie Polski! Tu „Arris" i „Mira". Zasyłamy wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom miłe i serdeczne pozdrowienia. Mamy nadzieję, że ktoś do nas napisze".
Apel umieściłam chętnie — równa się to przyjęciu do „Krainki". Tylko mam lekki żal do „Arrisa" i „Miry" za to, że zupełnie, ale to zupełnie nic nie napisały mi o sobie. Czy chcą uchodzić obydwie nowe członkinie „Krainy" za tajemniczych Sfinksów? Bardzo proszę napisać mi wiele bliższych szczegółów z swego życia, rodzaju pracy, jakie mają upodobania, wady i zalety. Więc... otrzymam żądane wiadomości? I jeszcze jedno. Proszę „Arrisa" i „Mirę" o podanie dokładnego adresu, abym wiedziała dokąd skierować ewentualne, nadesłe listy.

## NIE CZEKASZ, NA PRÓŻNO!

*„Boluś"*. Miła Dziewczynko, oczywiście znajdzie się ktoś, kto nie tylko pokocha Cię szczerą piękną miłością, ale będzie również rozumiał i wyczuwał wszystkie stany Twej duszy. Ktoś, komu z pełnym zaufaniem będziesz mogła powierzać swoje smutki i radości dnia codziennego. Nie czekasz na próżno, Boluś!
Za przesłane życzenia — mocno dziękuję i odwzajemniam je w pełni. Teraz przechodzę do Pani apelu:
„Halo! „Brunecie z Pałuk" i „Romantyczny śpiewaku!" Zdaje mi się, że się znamy, Chłopcy. Ciekawe, czy przypuszczenia moje są trafne. Stwierdzę to, przybywszy do Gąsawy, dobrze?
Osobno pozdrawiam „Wioślarza" i „Małego Stasia". Może który z was napisze. Z „dziką rozkoszą" zdobędę się na rewanż. A więc — czekam..."

## DZIĘKUJĘ!

*„Sława"*. Nie mogła Pani milej i piękniej ująć swych życzeń dla mnie z okazji Świąt Wielkanocnych. Dziękuję Pani za nie — mocnym uściskiem dłoni.

## SZCZERZE ŻYCZĘ!

*„Jaś — Sokół"* przedstawia się krótko: „Jestem blondynem o kędzierzawych włosach, wzrostu średniego, lubię uprawiać sport, fotografować, jeździć rowerem, zwiedzać obce strony. Może któraś z druhen, względnie druhów (Sokołów) napisze kilka słów".
Widzi Pan zatym, że wbrew wątpliwości przyjęłam Pana odrazu do naszej „rodzinki" i cały apel — według życzenia — umieściłam na początku. Przypuszczam, że odniesie on pożądany skutek — czego szczerze życzę. Listy proszę kierować do redakcji „Moich Powieści", załączając znaczek na dalszą wysyłkę listów.

## CHARAKTERYSTYKA — UDATNA

*„Eros"*. Ależ oczywiście — przyznaję Panu rację na wszystkich punktach... z wyjątkami. A co stanowi wyjątek — pozostawiam Panu do rozwiązania. W każdym razie scharakteryzował mnie Pan trafnie i... dowcipnie. Styl Pana jest tak miły i ujmujący, że mimowoli trzeba się uśmiechać, czytając list.
Co dotyczy umieszczenia mej fotografii na łamach „Moich Powieści" — trwam narazie stanowczo przy pierwszej mojej decyzji oraz przy życzeniu ogółu Czytelniczek i Czytelników — i fotografii postaram się nie zamieszczać.
Wzamian serdecznych pozdrowień — łączę szczery uścisk dłoni.

## CZARNE OCZY MAJĄ SIŁĘ MAGNETYCZNĄ...

*„Czarnooka Wanda"*. Głowę do góry! „Czarnooka Wando"! Przyjęłam Panią do „Krainy" — zgodnie z Pani życzeniem i życzę powodzenia. Wszak czarne oczy zawsze ciągną magnetycznie, a staropolskie imię, jakie Pani nosi — ma wiele wdzięku. Więc nie martw się, Dziewczynko, na pewno miłe listy wpłyną do Pani szeregiem.
Przesłany list skierowałem pod właściwym adresem, zaraz po nadejściu — odpowiedź jest już na pewno w drodze, czy tak?

## CZEKAM OBSZERNIEJSZYCH WIADOMOŚCI

*„Czarnooki Flor"*, o ciemno - blond włosach i czarnym wąsiku — oto nowy członek wielkiej Rodziny, jaką jest „Kraina". Witam Pana serdecznie w naszym kąciku, lecz przykro mi, iż oprócz skąpych, powyższych danych, nic więcej dodać o Panu nie mogę, ponieważ nic ponad to Pan mi nie napisał. Pozdrawiam serdecznie i czekam obszerniejszych wiadomości o sobie.

## CZTERY MIŁE ŁOBUZIAKI

*„Halka"* — *„Ślicznotka"* — *„Ksenieczka"* — *„Danuśka"* — oto cztery przemiłe stworzonka, które przysłały mi uśmiechnięty liścik.
„Jest nas cztery wesołe łobuziaki — sztubaczki" — piszą o sobie —
„Halka" — sympatyczna i morowa blondyneczka o niebieskich oczach;
„Ślicznotka" — piękna brunetka o dziecięcej buzi i stalowych oczach;
„Ksenieczka" — wielki filut o wiecznie śmiejącej się buzi;
„Danuśka" — złotowłosiątko o błękitnych, rozmarzonych oczętach.
„Jesteśmy bardzo zgraną paczką, wiecznie wesołe i uśmiechnięte, zawsze skore do figli, choć one już nie liczą, z wiekiem, ani zbliżającą się maturą. Pragnieniem naszym jest zawrzeć korespondencję z miłymi chłopcami i dzielić się wrażeniami z naszego wesołego życia. Zatym wzywamy do walki na pióra wszystkie formacje wojskowe. Rycerze, krzyżujcie pióra. Jeżeli odważą się odezwać na nasz apel i inni Sympatycy, będziemy również bardzo rade".

## *Teczka Wujka Janusza*

### COŚ SIĘ ZMIENI...

Jakie słoneczne, pieszczotą chłodną
Chłoszczące powietrze wiosny!
Smutki przewiane na drugą
Stronę ulicy, oddech radosny —
Jakie zabawne, złotawym pyłem
Drgające biegną ulice!
Zda się, że słońce dziś za promienie,
Lecące z nieba, uchwyce!
Wiosna zajęta wielką odświętną robotą
Łowienia cieni —
Patrzę ciekawie, drżę w sobie cała przejęta,
Że coś się zmieni.

*J. K.*

### NIE PISAĆ WIERSZYKÓW...

*„Wesoła Wircia"*. Wierszyk, który otrzymałem... do zamieszczenia, jest tak słaby, że najżyczliwszą moją radą, jak dać mogę Pani, jest — więcej wierszy nie pisać. Nie chciałaby przecież Pani zasłużyć na miano grafomanki? Osobiste wrażenia niech lepiej ujmie Pani w prostą, bezpretensjonalną prozę — i zwierzenia swoje prześle w formie listu czy Pani Zofji, czy też mnie, a chętnie je przeczytamy i odpowiemy Pani serdecznie.

### WIOSNA

A co tak stuka, puka, co dnia o świcie
Do naszego małego w chacie okienka?
— To uśmiechnięta wiosna, to młode życie,
To kasztanowych pąków zielona ręka.

— A co tak śpiewa, tak pod oknem szeleszcze,
Jakież to płyną rankiem znajome głosy?
— To łzy szczęścia radosne, wiosenne deszcze,
Którymi nas witają modre niebiosy.

— A co tak pachnie z naszego sadu,
Gdy tylko uchylimy okno, co rana?
— To tam, kędy już śniegu nie ma śladu,
Zapachniała tak słodko ziemia rozgrzana.

— A dlaczego nam w piersi serce tak wali,
I krew tętni, jak lawina, spadła ze szczytu?
— Ach, spójrz sam, czy nie widzisz? Na słońca fali,
Płynie szczęście, płynie wiosna, radość rozkwitu.

*Helena D.*

# Raj kobiet



Najmodniejsze fasony kostiumów sportowych i ładny luźny płaszczyk z grubej, miękkiej wełny.

## Gdzie się podziewają szpilki?

Jaki los jest tych miliardów szpilek, które zostają rok rocznie fabrykowane we wszystkich krajach?

Jedno z angielskich pism daje na pytanie to, krótką i zadziwiającą odpowiedź: Zostają zgubione!

Liczba fabrykowanych szpilek jest olbrzymia. W Anglii liczba rzucanych w ciągu roku na rynki szpilek dochodzi do 54 milionów sztuk. Francja produkuje 20 milionów. Niemcy 10 milionów. Stanowi to razem pokaźną sumę 84 milionów szpilek! Gdyby ułożyć szpilki fabrykowane w ciągu jednego dnia jedną za drugą, to pokryłyby one połowę drogi z Europy do Ameryki. Produkcją kilkunastu dni można by opasać całą kulę ziemską.......

Szpilki nie zużywają się, zostają one zgubione. Statystycy dowodzą, że w Europie ginie zupełnie ta sama liczba szpilek, jaka zostaje wyprodukowana, t. j. 84 miliony.

Gdy obliczymy ludność Europy na 240 mil. okaże się, że każdy człowiek co trzeci dzień gubi szpilkę.

Fabrykacja szpilek jest szybka i łatwa i nie zabraknie ich zapewne nigdy.

## Praca kobiet i dzieci

*(Niepokojące cyfry)*

Jeśli chodzi o bezrobocie czy to u nas, czy za granicą, jako jeden z zasadniczych problemów staje przed oczy praca kobiet i dzieci w przemyśle.

I praca kobiet i praca dzieci stwarza nadmierną konkurencję w sferze zarobku dla mężczyzn. Ta konkurencja wytwarza nie tylko brak pracy, ale, mało tego — wytwarza pomniejszenie zarobkowania, bo kobiety i dzieci, zwłaszcza dzieci, pracują za mniejsze wynagrodzenie.

Przyrost ludności u nas jest z roku na rok duży, o pracę więc z roku na rok trudniej. Wszystko jedno, czy to weźmiemy pod uwagę inteligencję z wyższym wykształceniem, czy robotnika niewykwalifikowanego — i dla jednego i dla drugiego brak pracy staje się kwestią dnia, a o jakiekolwiek źródło zarobku coraz trudniej. Nie ma warsztów pracy!

A wobec tego cóż robić?

Ograniczyć do minimum pracę zarobkową kobiet i małoletnich a szczególniej małoletnich, dla organizmów, których ciężka nieraz praca w fabrykach przynosi więcej szkody i im i zakładom, aniżeli pożytku.

Dzieci w takiej pracy tracą zdrowie, przedwcześnie starzeją się, zniechęcają do życia.

Co do kobiet — niedawno odbyty kongres wszechświatowy w Paryżu, zorganizowany przez Unię Obywatelską Pracy, wypowiedział się szczegółowo i kategorycznie na ten temat, żądając powrotu pracownic do domów i zajęcia się sprawami rodzinno-społecznymi.

Z punktu widzenia społecznego więc — tak praca kobiet, jak i dzieci nie jest wskazana.

Z tą pracą walczą rządy. U nas również obowiązuje ustawa ograniczająca pracę kobiet i dzieci w przemyśle. Niestety, o ile dała ona wyniki w stosunku do zarobkowania dzieci, o tyle zgoła nie rozwiązała zagadnienia, gdy chodzi o zarobkujące kobiety. Dane statystyczne wskazuje tutaj, że pomimo ustawy, ilość kobiet pracujących nie zmalała, ale wzrosła. Na 1000 robotników w całej Polsce przypadło w roku 1923 — 46 młodocianych, w r. 1931 już tylko 24. W tymże czasie udział mężczyzn zwiększył się z 718 do 727 czyli o 9 osób na 1000, udział zaś kobiet wzrósł z 238 do 250, czyli o 12 na 1000.

Dziś wskutek kryzysu pracuje i mężczyzn i kobiet w ogóle mniej — ale spadek nie jest równomierny. Liczba małoletnich pracowników zmniejszyła się z 25 tys. do 9, liczba mężczyzn spadła z 410 do 295 tys. Ten ostatni spadek wskazuje, że przemysł likwidując pracę dzieci, zatrudnia w ich miejsce nie mężczyzn, a kobiety a czyni to dlatego, ponieważ kobietom daje mniejsze wynagrodzenie. Szkoda, że ustawa nie może tego faktu przełamać dotąd, mało tego, ale nawet niektóre przedsiębiorstwa rządowe wykorzystują za tańsze pieniądze siły kobiece i nie posługują się siłami męskimi, np. Monopol Tytoniowy.

Sprawa jest ważna. Opinia publiczna w ogóle stoi na stanowisku dawania pracy żywicielom rodzin, tj. mężczyzn. Nacisk czynników miarodajnych musi pójść także w tym kierunku. W ślad za tym zmaleje bezrobocie.

W tym stanie, jaki jest obecnie — zarobki maleją, kurczą się do minimum wśród kobiet, mężczyźni nie znajdują kawałka chleba, sytuacja bezrobocia nie polepsza się, a pogarsza, gdyż jedni nic nie mają, a drudzy czasem niżej minimum. Jeżeli ustawa nie skutkuje, muszą się znaleźć inne środki do poprawy stosunków, które tej poprawy domagają się gwałtownie.

## Czy wiecie, że...

W Hiszpanii popularnymi walkami są walki byków. W Sjamie — walki ryb. Ryby te oczywiście są odpowiednio tresowane. Po tresurze zostają umieszczone w szklannym basenie, który jest przedzielony. Przed walką ścianki usuwają się. Walka trwa nieraz po kilka godzin i kończy się przeważnie śmiercią jednej z ryb.

—o—

Biblia wydana przez Tow. Biblijne w Anglii doszła do nakładu w roku bieżącym 10.617 470 tomów. Tow. Biblijne drukuje Pismo św. w 667 językach i narzeczach.

—o—

Pierwszym palaczem tytoniu na gruncie europejskim był towarzysz Kolumba, marynarz Rodrigo Diego de Jercz. W portowym mieście Huelva, dokąd przywiózł ten marynarz pierwsze liście tytoniu. Wystawiono mu obecnie pomnik.

—o—

Chininę do Europy przywieziono 300 lat temu. Jest to proszek, pochodzący z drzewa chinowego, a wynalazł go jezuita Bernabo del Colo. Dziś, proszek ten przeciwdziałający febrze jest jednym z najbardziej dobroczynnych środków.

—o—

Pewien drukarz w Los Angelos pracował przez dwa lata nad drukiem olbrzymiego egzemplarza Pisma św. Księga ta waży przeszło tysiąc funtów głoski jej są tak wielkie, że można je czytać z odległości kilkunastu metrów. To nadzwyczajne Pismo św. obejmujące 8 tys. stron, w żadnej świątyni nie znalazło, dla siebie odpowiedniego miejsca. Amerykanie zbudowali specjalną świątynię, gdzie się mieści ta wielka księga.

# Świat i życie

## Dawniej walka o byt a dziś sport

W najdawniejszych już czasach, zarówno na brzegach Nilu, jak Tygrysu i Eufratu — było polowanie największą rozrywką uprawianą przede wszystkim przez królów i dostojników państwa.

Znakomity myśliwy cieszył się takim samym uznaniem, jak okryty sławą bohater wojenny. Ilość upolowanej zwierzyny imponowała nieraz od liczby pokonanych wrogów wygranych bitew. Czasy, kiedy polowanie było tylko walką o byt i wynikało tylko z konieczności obrony lub zdobycia sobie pokarmu, minęły widocznie już bardzo dawno, skoro na 4—5 tysięcy lat przed Chrystusem urządzono w Egipcie z przepychem całe wyprawy na łowy, które wcale nie były powodowane żadną z tych konieczności.

To, co było kiedyś walką o byt, zmieniło się w rozrywkę, sport, — pociągający swym niebezpieczeństwem.

Egipt, starożytny posiadał dwa znakomite tereny do polowań: doliny i płaskowzgórza, ciągnące się od wschodu doliny Nilu do morza Czerwonego i sam Nil ze swymi kanałami, dopływami, ślepymi odnogami, brzegami pokrytymi zaroślami i papirusami w

gąszczach, w których kryły się nosorożce, krokodyle, i szakale, a bliżej pustyni — lwy.

Polowania na lwy należały zwykle do najbardziej niebezpiecznych, a przez to samo, pociągających. Gdy w drugim tysiącleciu przed Narodz. Chrystusa, lwy, tępione zawzięcie, zaczęły być coraz rzadszym zjawiskiem w pustyniach Egiptu, faraonowie odrzucili przywilej wyłącznego na nie polowania tracącego już swój urok niebezpieczeństwa, pozostawiając to ludziom mniej szlachetnej kondycji. Mimo to jeden z faraonów chwalił się, iż polując na inną zwierzynę, zabił przelotnie 102 lwy w ciągu 10 lat.

Można więc sobie wyobrazić, jaka była skala polowań, kiedy lwy nie były uważane za zwierzęta rzadkie.

Kiedy następnie i slonie znikać zaczęły z doliny Nilu, odpadło i to polowanie z repertuaru rozrywek królewskich. W tym czasie nastąpił okres wielkich wypraw wojennych faraonów wgłąb Azji aż do stepów i pustyń nad brzegami Eufratu. Tam, w krajach Naharaima polował Tutmozis I (1520 r. przed Chr.) przywożąc do Egiptu kilkadziesiąt słoni. Kły słoni zawiezione zostały do Teb, złożone w ofierze bóstwa Amon—Ra.

W Asyrii, zarówno jak w Egipcie byli królowie namiętnemi myśliwemi, uważając polowanie za najbardziej godziwy i szlachetny rodzaj rozrywki. Wyruszali w tym celu z Niniwy w doliny Tygrysu i Eufratu, czasem zaś zapuszczali się jeszcze dalej w stepy i góry kurdzkie. Urządzono polowania za naganką na jelenie, na dzikie osły, które łapano na lasso, a nierzadko i na tygrysy.

I tu jednak ulubioną zwierzyną były lwy, jako najbardziej odpowiadające królewskiej zabawie. Zwłaszcza król Sardanapal oddawał się polowaniu na lwy z wielkim zamiłowaniem.

Poza polowaniem na miejscu kazał Sardanapal chwytać lwy żywcem i osadzać w klatkach, co było okazji jakiegoś polowania dworskiego wypuszczono je z klatek. Na polowania takie, urządzane przez Sardanapala zjeżdżali się zaproszeni przez niego niebezpieczeństwem, niż polowanie zwykłe. W klatkach więcej trudniejsze i połączone z daleko większem kach tych przewożono lwy do Asyrii, gdzie z goście królewscy krajów sąsiednich.

## Polowanie na... kość słoniową

Rzeźba z kości słoniowej jest jednym z najwcześniejszych przejawów artyzmu ludzkiego.

Salomon, według licznych opisów, posiadał tron z kości słoniowej, faraonowie egipscy trzeciej dynastii na 14-cie wieków przed Chrystusem otrzymywali całe jej ładunki z Abisynii, a posąg Jowisza Olimpijskiego, nieśmiertelnego dłuta Fidiasza, był rzeźbiony również z kości słoniowej i przybrany złotem.

Okres odrodzenia był również okresem odrodzenia kultu tego drogocennego materiału, którego zapotrzebowanie znacznie wzmogło. Od tego czasu kość słoniowa święci stale swój triumf, a za artystyczne z niej wyroby wciąż płaci się jeszcze wysokie ceny.

Najwięcej kości słoniowej dostarczała i dostarcza Afryka. W podzwrotnikowych lasach giną rok rocznie miliony słoni, gdyż słoń musi być zabity przed wyjęciem kłów. Trupy słoni leżą przez kilka dni aż rozpocznie się proces gnicia, który ułatwia bardzo wyjęcie kłów, operację bardzo mozolną.

Kły słonia rosną przez całe jego życie, tak nawewnątrz, jak i zewnątrz, przy czym część ich wewnętrzny przedstawia mniejwięcej jedną trzecią całej ich długości.

Największe kły słoniowe były wydobyte w r. 1898 w okolicach jeziora Tangarika, z których każdy ważył 105 kg.

Obecnie największe partie kości słoniowej wysyła Kongo, Górny Sudan i Afryka Portugalska.

Kły słoniowe przewożone są skrętami w sposób zupełnie prymitywny. Bywają niedbale rzucane na dno okrętu bez żadnego opakowania, tak, że wydaje się poprostu rzeczą zgoła dziwną, żeby tak drogocenny materiał nie był wcale strzeżony. Jest to jednak celowe, gdyż praktyka wykazała, że kość słoniowa, jadąca w formie naturalnej jest zagwarantowana od kradzieży, w przeciwieństwie do pak, które licznie ginęły.

Wielkie ładunki kości słoniowej idą przeważnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie jest największe zapotrzebowanie na ten drogocenny materiał.

# Ze świata

## Dąb Tassa na wzgórzu Garibaldi'ego

Jest to powszechne uczucie, że się ceni, że się pragnie, zwłaszcza po stracie bliskiej nam osoby, przechować, mieć nieustannie przy sobie, jakiś jej ulubiony dawniej przedmiot. Genjusze i bohaterzy stają się nam niemniej bliscy. Ich myśl bowiem i czyny wzruszają nas, przywiązują do ich pamiątek, skoro nie możemy już oglądać ich żywej postaci. Przeważnie oglądamy te pamiątki w muzeach. Nie brak jednak przykładów, iż po wielkich ludziach pozostają chronione z czcią fragmenty natury, wśród której chętnie przebywali, oglądali za życia.

Szczególnie drzewa. Aby je jak najdłużej zachować w możliwym stanie, otacza się je szczególniejszą pieczołowitością. Takim drzewem jest dąb Tassa na wzgórzu Garibaldi'ego w Rzymie. Szczerniały pień i grubsze gałęzie oczywiście pozbawione już liści (drzewo bowiem musiało wreszcie po długim wieku istnienia uschnąć), są w szczelinach zalepiane cementem, w spróchniałych dziuplach nawet zakładane cegłami, skute żelazem, aby się mogły przeciwstawić wszelkim zmianom pogody. Jak chce bowiem tradycja, Torkwato Tasso, twórca „Jerozolimy Wyzwolenionej", wypoczywał tu i szukał natchnienia dla genialnych wierszy swego wiekuistego utworu. Dąb ten, okryty niegdyś gęstymi liśćmi, pozwalał wielkiemu poecie rozkoszować się dowoli wśród znojnego dnia dobroczynnym chłodem jego cienia.

## Maszyna, która sama buduje drogi

W Ameryce został wynaleziony przyrząd ułatwiający i przyśpieszający budowę dróg. Służy on do mechanicznego i jednostajnego układania kamieni lub też asfaltu na drodze. Można go odpowiednio regulować, w zależności od grubości materiału. W czasie trzech minut przy pomocy tego aparatu można wypróżnić ładunek 10-tonnowy. W czasie dnia roboczego przyrząd ten może usypać 1.000 tonn kamieni i wymaga do obsługi tylko dwóch robotników.

Budowanie dróg takim aparatem niewątpliwie bardzo oszczędza czas, ale trzeba pomyśleć i o tym, jak wielu ludziom odbiera on jedyny zarobek. W dzisiejszej dobie kryzysu na wynalazki należy patrzeć nietylko ze strony postępu technicznego, ale i ze strony dobra społecznego.

JAN FELIKS PŁOCIENNIK

## Prawdziwe szczęście

(Nowela)

Była godzina ósma wieczór... Miasto świeciło tysiącem latarń i reklam.

Ulicą usłaną śnieżnym kobiercem szedł żwawym krokiem siwowłosy starzec, okryty zniszczonym już futrem.

— Dobry wieczór wujku! — odezwał się nagle z tyłu głos siostrzeńca.

Doktór Glawisz odpowiedział pozdrowieniem, nie zatrzymując się, gdyż Stach Niwiński, młody student, zdążał również w kierunku przedmieścia.

— Czy może idziesz do nas, wujku? — zaczął znowu Stach. — W takim razie ładnie się składa, bo ojciec wyprawia właśnie imieniny i będzie niezmiernie się cieszył z wizyty wujka.

— Czyje imieniny? Ojca? To go pozdrów ode mnie i powinszuj, gdyż, wierzaj mi, chłopcze, że nie mogę do was wstąpić, muszę bowiem odwiedzić chorych... — odpowiedział łagodnie doktór Glawisz.

— E, co też wujek już ma z tymi chorymi! — wydął wargi Stach Niwiński. — Czy wujkowi za to kto co da, czy co? Nie rozumiem, jak można odwiedzać i darmo dawać lekarstwa jakimś tam chorym, których się wcale nie zna i którzy napewno się nigdy nie będą potrafili odwdzięczyć. — Wieczór tak piękny, że lepiej wujek przeszedł by się do nas... — starał się siostrzeniec przekonać swego wuja. — Zresztą zdrowiem własnym szafować nie trzeba, należy się odpoczynek wujkowi.

— Wcale nie przeczę, — odparł doktór, — że po dziewięciogodzinnej pracy — miłoby by mi było się z wami rozerwać, ale nie wiesz, chłopcze, jaką rozkoszą jest nieść pomoc właśnie tym nieznanym ludziom, których może tylko raz w życiu widzimy, i jak miło jest przyjmować ich uśmiechy, które w szarzyźnie życia rzadko się ukazują... Uśmiechy tych biednych ludzi są największą zapłatą; pieniądz — zimny kruszec — nie wynagrodzi dostatecznie. Jeśli więc mamy co jeść i Pan Bóg obdarzył nas zdrowiem, musimy podawać dłoń tym najbiedniejszym, co będzie znowu najlepszą podzięką dla Boga za zesłane nam łaski. Bo życie człowieka jest zagadką. Los się zmienia i nie możemy wiedzieć, co z nami będzie za parę lat...

To powiedziawszy, pożegnał siostrzeńca i znowu przyśpieszonym krokiem podążył w prawo (Niwiński zaś skierował w lewo), by jak najprędzej przynieść ulgę choremu.

—o—

Po kwadransie doktór Glawisz przestąpił próg suteryny, gdzie oczom jego przedstawił się obraz straszliwej nędzy.

Otóż w mieszkaniu nieopalonym, na ziemi, na nędznym posłaniu leżał wychudły mężczyzna, z ustami spieczonymi od gorączki, a obok czworo dzieci, ledwie żywych.

Dookoła zaś tego smutnego łoża cierpień były porozrzucane bez ładu nie pomyte naczynia, woda zamarznięta w kubku, co świadczyło, że chorzy nie mieli żadnej opieki.

Później dowiedział się doktór, że żona chorego mężczyzny i matka dzieci, osierociła ich przed pół rokiem.

Doktór napisał receptę, po czym poszedł na parter do stróżki domu, prosząc ją o przyniesienie lekarstwa, jedzenia i opału, dając jej przy tym odpowiednią kwotę.

A kiedy stróżka zadość prośbie doktora uczyniła, rozpoczęła się najtroskliwsza opieka nad chorymi. Zaofiarowali również swe usługi litościwi sąsiedzi, dając dozór według możności. Bo nie tylko majętni ludzie o dobrych sercach mogą nieść pomoc nieszczęśliwym, ale również ubodzy, gdy spieszą z opieką nieszczęśliwym, a ofiara ich ma stokroć większe zasługi, niż dary bogaczy. A więc kto ma tylko dobre chęci, może być użytecznym na świecie.

Po godzinie opuścił doktór Glawisz suterynowe mieszkanie, żegnany wdzięcznymi uśmiechami ludzi nędzy.

—o—

Kiedy doktór Glawisz znalazł się na ulicy, uśmiechnął się do niego księżyc, gwiazdy mu mrugały na błękicie, a wiatr szeptał mu opowieści dziękczynne...

I przypomniały mu się lata młodzieńcze, kiedy to po raz pierwszy postanowił nieść pomoc nieszczęśliwym, by szukać zapomnienia...

— Jakie jednak tajemnicze jest życie i dziwne drogi człowieka — pomyślał starzec.

Doktór Glawisz był samotny. Koleje jego życia były bardzo ciekawe. Niekiedy zdawało mu się, że nie kocha nikogo i że sam jest również przez wszystkich wzgardzony.

Jednak w rzeczy samej — kochał wszystkich cierpiących i jego kochali wszyscy, którym przyniósł ulgę w cierpieniach.

Doktór Glawisz, będąc młodzieńcem, doznał zawodu w miłości. Kiedy po pewnym czasie po raz drugi przekonał się, że został również oszukany, stracił wiarę w kobiety, nie wierzył, by istniała miłość. Kiedy więc spotkał na drodze życia kobietę, która go kochała prawdziwie — nie uwierzył jej, niwecząc wszelkie możliwości osobistego szczęścia.

Doktór Glawisz wierzył tylko w jedno — „prawdziwe szczęście": niesienie pomocy nieszczęśliwym, nie patrząc nigdy — kiedy nastąpi zapłata.

I szczęście znalazł...



Z okazji uroczystości koronacyjnych angielscy motorowcy przygotowują efektowne akrobacje. Powyższe zdjęcie przedstawia fragment akrobacji: jeden żołnierz skacze, a w tej samej chwili motocyklista przejeżdża pod nim.

żeby nikogo nie puszczać, bo przygotowywał się do drogi. Powiedziano więc Jance, że wyjechał.

— A kiedy wróci? — spytała Janka.

— Nie wiemy! — odrzekł prowizor.

Janka odeszła z westchnieniem.

Małą miała nadzieję wydostania od niego sto reńskich, ale stało się jeszcze gorzej niż przypuszczała.

— Jestem zaprzedana baronowi — szepnęła — chyba Bóg mi dopomoże!

## ROZDZIAŁ CIII

Adelaida, na której pokładzie Mayerowie jechali do Ameryki, był to statek, z którego pasażerowie byli bardzo zadowoleni.

Na średnim pokładzie, muzykalny jakiś pasażer co wieczora wygrywał na harmonijce, przy której inni tańczyli wesoło, jak na stałym lądzie.

Jedyna Cuzia nie straciła złego humoru i przypatrywała się tylko zabawie z ironicznym uśmiechem, siedząc na uboczu i nie wdając się z tłumem.

W ten sposób chciała pasażerom pokazać, że uważa się za coś lepszego od nich i chciała ich tym rozgniewać.

Pocieszało ją tylko towarzystwo jakiegoś starszego pana, który dziwnym sposobem przywlókł się na pokład, sunąc nogami o kiju, a teraz poruszał się z nadzwyczajną elastycznością i gibkością. Dziwiło ją tym bardziej, że ruchy te stały w rażącej sprzeczności z jego siwymi jak śnieg włosami.

Szukał on bardzo chętnie jej towarzystwa, nawet był wesół bardzo i robił dowcipy niekiedy dość dwuznaczne.

Pewnego razu opowiadał jej znowu coś bardzo wesołego i oboje śmiali się serdecznie, gdy nagle zerwał się szalony wiatr morski i strącił mu z głowy kapelusz.

Razem z porwanym kapeluszem zleciała starszemu panu peruka.

Zuzia zauważyła z przestrachem, że ten „stary pan“ pod siwą peruką, miał gęste, czarne, krótko strzyżone włosy.

— Jezus! — wrzasnęła zdziwiona.

Człowiek ten prędko nałożył na powrót perukę i kapelusz i zbliżył się do Zuzi.

— Pani — rzekł jej szeptem — jak pani widzi, oboje jesteśmy w tym samym położeniu. Pani nie jest tym, za kogo uchodzisz i ja wydaję się za kogo innego, niż jestem. Nikomu nie zdradziłbym mojej tajemnicy, ale pani powiem wszystko, bo jesteś wyjątkową kobietą i wiem, że mnie nie zdradzisz. Jestem hrabia Ferdynand Bärensprung i uciekam z kraju, bo nieprzyjaciele moi oczernili mnie przed cesarzem. Prawda, że pani nie zdradzi biednego szlachcica.

Serce próżnej kobiety zabiło dumą. Hrabia rozmawiał z nią, jak z równą sobie i powierzał jej swoje tajemnice. Cieszyła się tym niezmiernie i co ją tylko bardzo bolało, to to, że przed nikim nie mogła się tym pochwalić.

— Czy mogę liczyć na dyskrecję pani? — spytał hrabia.

— Panie hrabio — rzekła z dumą — raczej umrę niż pana zdradzę.

— Na miłość Boską, tylko bez tych tytułów, bo jestem zgubiony. Życie moje w twoich rękach, pani — wołał Bärensprung.

Zuzia przyrzekła mu święcie dotrzymać tajemnicy i nie złamała słowa, bo nie miała znajomych na okręcie, a poczucie, że obcuje z prawdziwym hrabią, jeszcze bardziej wynosiło ją ponad swych współpasażerów.

Okręt szybko zbliżał się do celu podróży i Zuzia coraz bliższą była cudów Ameryki.

Zmartwiła się tylko, gdy się dowiedziała, że cały szereg formalności trzeba przebyć nim takiego przybysza puszczą na ląd.

Gdy wreszcie ozwał się na pokładzie okrzyk: „ląd!“ wszystko co żyło wyległo na pokład, aby zobaczyć utęskniony kraj.

Zdziwiła się Zuzia, że widzi tylko siny pas na widnokręgu, ale w gruncie rzeczy, tak jak wszyscy podróżni cieszyła się, że jest już tak bliską swego „szczęścia“, którego się wszyscy w Ameryce spodziewali.

Jeden tylko Bärensprung, okazywał niepokój jakiś. Krył się po kątach i musiały go znowu boleć zęby, gdyż jak Zuzia zauważyła, trzymał chustkę wciąż przy twarzy.

Nazajutrz rano zobaczyła z okrzykiem zachwytu wspaniałe miasto Nowy York.

— Ładne, co? — zapytał ją mąż. — Uważaj, teraz pasażerów z kajut będą przewozić w łodziach.

— A nas? — spytała Zuzia.

— Nas przy Castle-Garden.

Zuzia była niezadowolona.

— Myślałam, że w Ameryce, wszyscy są równi — rzekła gorzko.

Niebawem pasażerów z kajut okrętu wysadzono a „Adelajda“ pojechała dalej na południe do Castle-Garden.

Tam w olbrzymim budynku są biura urzędników znających różne języki, urządzone dla wygody emigrantów.

Wchodzi się tam przez wąską bramę. Każdy emigrant musi wymienić nazwisko, stan, narodowość i cel swego przybycia, co się protokółuje; dalej drugi urzędnik zmienia im pieniądze na monetę amerykańską, aby uchronić ich przed wyzyskiem.

Jeszcze dalej jest nawet biuro pracy, które poszukującym wskazuje zarobki, o ile są jakie do rozdania.

Zuzia patrzyła na to wszystko ze zdziwieniem. Widziała jak jednego z pasażerów, który na pokładzie zachorował, przetransportowano do szpitala, w którym mieści się do 20.000 chorych.

Wśród zgiełku, wrzawy i zamieszania Mayerowie potracili prawie głowy. Nagle uczuł Mayer, że ktoś go uderza po ramieniu, wołając rubasznie:

— Jak się rodak ma?

Mayer oglądnął się i zobaczył jakiegoś porządnie ubranego człowieka w średnim wieku, który nie czekając odpowiedzi, mówił dalej.

— Nazywam się Piotr Schulze, oczekiwałem brata mego, Jana, ale szelma nie przyjechał! Nie ładnie z jego strony, bo mu posłałem pieniądze na podróż. A wy dokąd? — spytał niewinnie.

— Nie wiem jeszcze — odpowiedział Mayer niezdecydowany.

— No, wiecie — rzekł na to poczciwie pan Schulze — skoro braciszka mego nie ma, mogę wam pomóc w pierwszych krokach w nowym świecie, żeby was nie oszukali.

— O, ja nie dam się oszukać, — odpowiedział Mayer zarozumiale.

— Widać po panu — pochlebiał mu pan Schulze — a to siostra pańska?

— Żona moja — odpowiedział Mayer z widocznym zadowoleniem.

— Jezus, Maria! — krzyknęła Zuzia — ten czarny diabeł bierze na głowę mój kufer.

— Niech się pani nie boi, to pakier, czy ma pani jeszcze jakie pakunki? — spytał.

Zuzia wskazała mu drugi, olbrzymi kufer, a on skinął murzynowi drugiemu, który wziął go i razem z tamtym zaniósł na wehikuł.

Schulze wsiadł razem z nimi, rzuciwszy woźnicy adres hotelu.

Ani rudy Mayer, ani jego czcigodna małżonka nie widzieli, że on rozporządza nimi, nic się ich wcale nie pytając.

Ludzie różnorakiej narodowości i ras, których po drodze widzieli i okna wystawowe wzbudzały podziw Mayerów.

Na dachu jednego domu wisiał kapelusz, duży jak kadź.

— W tym domu jest fabryka kapeluszy — objaśniał Schulze.

— A tu takie olbrzymie pióro pozłacane — rzekła Zuzia znowu.

— Tu są przybory do pisania — informował znowu Schulze.

— Jak ci ludzie gonią po ulicy — zauważył teraz były stangret — czas tu musi być bardzo drogi, że tak się śpieszą.

— Czas to pieniądz — wygłosił Schulze.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

## CHWILA ZASTANOWIENIA

Konikówka
ułoż. Witold Małaczyński, Łysinin.

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| Naj | wszyst | jest | o | szą |
| ta | my | trwal | ko | na |
| choć | czy | je | ze | na |
| ci | zos | kieh | dzie | u |
| rze | ja | tra | nam | wszyst |

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

Szarada
podał B. S. A.

Pierwsze — drugie młyna dusza
I tartaki też porusza.
Czwarte — trzecie schronienie bezpieczne
A dla ziemniaków w zimie konieczne.
Trzecie — drugie gdy „d“ w środku stanie
Jest oczywista konieczne, gdy pranie.
Z drugie — trzecie kamienie się dobywa,
Które do brukowania zwykle się używa.
Całe — miasto w Polsce położone,
Od wschodniej granicy niezbyt oddalone.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do 13 kwietnia br.

ADAM CZEKALSKI

4)

# Sen o zemście

**OPOWIEŚĆ STAROPOLSKA**

A im dłużej z nią przebywał, im bliżej ją poznawał, zaczynał snuć coraz śmielsze plany, zastanawiając się nad tym, jakby tę piękną istotę najdłużej zatrzymać przy sobie i dla siebie.

Pani starościna zaś, oczarowana opowiadaniem o rozkoszach życia dworskiego, zaczynała z dnia na dzień coraz bardziej nudzić się w Opsie i coraz więcej tęsknić za dworem, za stolicą, a w każdym razie za szerszym horyzontem, gdzie mogłaby olśniewać swoją naprawdę fascynującą urodą kogoś więcej, niż tylko własnego męża.

— Jest to grzech nie do przebaczenia — mówił raz hoży dworzanin do pięknej pani — aby taka olśniewająca krasa, nie mająca równej sobie w całej Koronie i Litwie, marnowała się w tym zakątku ziemi, który może nawet posiada i swój urok i wdzięk, ale który nie może stanowić należytej oprawy dla takiego klejnotu, jakim jesteś ty wasza miłość.

Madame Hedwige westchnęła smętnie.

— Cóż mam począć? Cóż mi waćpan radzisz?

— Jedno: wyjazd stąd do stolicy. Tylko stolica może ocenić wyjątkową krasę waszej miłości, tylko na dworze królewskim ocenią wartość takiej perły.

Tak to kusił sprytny dworzanin piękną panią, a ona słuchała jego słów z rozkoszą, bo one odpowiadały jej myślom i jej pragnieniom i były jak gdyby echem jej zamiarów i jej marzeń.

A ponieważ chwilowo pani Jadwiga nie mogła zdobyć się na jakąkolwiek decyzję stanowczą, zadawalała się towarzystwem pana Rudominy Dusiatyckiego, jego słodkimi słówkami, jego uściskami i pocałunkami, którymi hoży dworzanin obsypywał tak łatwo zdobytą kochankę.

— Cóż począć, mój panie — odrzekła niedbale starościna — skoro w księgach przeznaczeń taki mi los pisany. Zaliż mogę go odmienić?

— Bezwątpienia! Od ciebie jednej, madame, zależy tylko, abyś w koronie pięknych niewiast tej przesławnej Rzeczypospolitej zabłysnęła najwspanialszym blaskiem.

Starosta nic nie widział i nic nie słyszał. Jak każdy prawdziwie zakochany — był ślepym i głuchym. Cieszył się nawet z towarzystwa pana Rudominy, które na piękną Gigę działało tak bardzo kojąco, że już teraz nie narzekała na zmęczenie i nudę o jakie przyprawiały ją jeszcze niedawno miłość i czułości małżonka.

Ale nie ma na świecie człowieka tak ślepego i tak głuchego, któryby przynajmniej raz jeden w życiu nie przejrzał i nie usłyszał.

Tak było i ze starostą. Dnia pewnego wszedł pan Jan niespodzianie do przytulnej różowej komnatki z atłasu, którą tak pieczołowicie ustroił dla pani swego serca, i na widok tego, co zastał — krew go zalała. Jak długo stał w drzwiach, raczej do kamiennego słupa, niż do żywego człowieka podobny — nigdy nie mógł zdać sobie dokładnie sprawy. Mogła to być tak samo dobrze godzina, jak jedna chwila.

Krzyk chrapliwy, krzyk wściekłości i gniewu wydarł mu się z piersi.

Pan Stanisław Rudomina Dusiatycki zerwał się z kolan i z ponurą twarzą, zgaszonym przerażeniem wzrokiem — stał blady i niemy.

Mózgu pana starosty opeskiego czepiało się najformalniejsze szaleństwo, najczarniejsza rozpacz, która, jak złowrogie kruki, szarpała mu serce.

Stali tak długo naprzeciw siebie, milczący, bladzi, straszni, a groza unosiła się w powietrzu różowej komnatki.

Co przeżył pan starosta w ciągu tych strasznych chwil, Bóg jeden tylko wiedział. On sam czuł jeno ogień w mózgu i ogień w piersi i straszliwa żądza pomsty ogarniała go z coraz większą mocą, jak pożar ogarnia w jednej chwili zeschły na pieprz dach słomianej strzechy.

Wszystkie drobne, dawniej zauważone fakty i szczegóły zdrady, na które dotąd nie zwracał najmniejszej uwagi, stanęły mu teraz w pamięci ognistymi głoskami. Długo był ślepy i głuchy, ale teraz przejrzał i usłyszał, jak nigdy dotąd. I zrozumiał wszystko znakomicie.

Opanował się w końcu z najwyższym wysiłkiem i rzekł chrapliwie:

— Pójdź waćpan ze mną.

Rudomina posłuchał bez słowa protestu.

Starosta zamknął różową komnatkę i klucz wsadził do kieszeni.

Poszli długą mroczną sienią, której ściany obwieszone były zbrojami i rozmaitą bronią sieczną. Pułkownik zdjął z gwoździa dwie szable i w milczeniu poszedł przodem. Rudomina również milczał. Jakiekolwiek słowa z jego strony były w tej chwili zgoła nie na miejscu. Z początku myślał, że starosta albo ubije go na miejscu, albo każe służbie zaćwiczyć na śmierć, lub też wrzuci do loszku i zagłodzi. Zaczął sobie był już nawet przypominać rozmaite najdawniejsze rodzaje śmierci i chwilami mrowie wędrowało mu po grzbiecie. Ale kiedy zobaczył, że starosta bierze ze sobą dwie szable, uspokoił się znacznie.

„Chce się bić ze mną w regularnym pojedynku — pomyślał. — Szlachetnie to z jego strony."

Wyszli na murawę ogrodową i tutaj pułkownik zatrzymał się. Rzucił szablę pod nogi gacha i warknął głucho:

— Stawaj!

Rudomina wziął szablę i rozpoczęła się krótka, ale krwawa walka. Starosta był szermierzem znanym szeroko w kraju i poza jego granicami, niejeden pojedynek miał już za sobą i nie o jedną kobietę. W ręcznym spotkaniu rzadko kto mu dorównał, chyba jeden olbrzymi Wołoszynowski, pan na drewnianym zameczku. Ale tym razem i ten musiałby był ulec.

Pułkownik natarł wściekle, Rudomina się zasłonił i dwie klingi stalowe zwarły się z sobą jakby w jedno. Dworzanin czuł, że walka ta jest walką na śmierć i życie, że nikt tu nikomu nie będzie dawał pardonu, że jeden z walczących będzie musiał lec. Bronił się też dzielnie, ale i starosta nacierał dzielnie a tak skutecznie, że już po paru złożeniach zaciął z lekka przeciwnika w czoło i lewe ramię. Potem przeciął frak na lewym boku, zerwał żabot, naznaczył go na prawej nodze, słowem — postępował tak, jak gdyby chciał pociąć przeciwnika na drobny mak, nie odbierając mu życia.

W poszarpanej odzieży, pokrwawiony, pokaleczony, nieszczęsny miłośnik pani Jadwigi miał bardzo smętny i pożałowania godny widok. Lecz trzymał się wciąż i wciąż odpierał wściekłe ataki starosty.

Ale pan Jan uznał snać, że dość tej zabawy, bo natarł raz i drugi tak gwałtownie i ciął tak strasznie, iż rozpłatał pierś nieszczęsnemu gaszkowi prawie na dwoje i rozciągnął go na murawie.

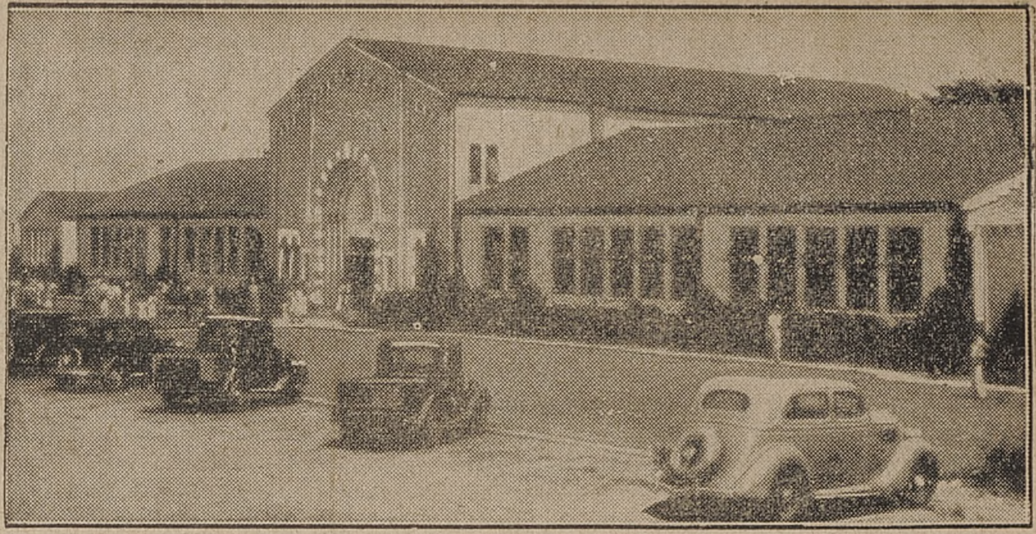
Chwilę stał nad pokonanym przeciwnikiem, dysząc ciężko, poczem rzucił szablę na trawę, przywołał służbę i rzekł:

— Zanieście tego człowieka do odryny i powiedzcie medykowi, aby go opatrzył.

VII.

## POD KLUCZEM

Pułkownik podszedł pod drzwi różowej komnatki, w której zamknął małżonkę, i zatrzymał się. Próbował opa-



Szkoła w New London (Stany Zjednoczone), gdzie wskutek eksplozji gazów zginęło blisko 700 osób.

nować wzruszenie, gniew i żal serdeczny, które wypełniały mu serce i duszę. Trzymając klucz w ręku, patrzył na niego i rozmyślał, co mu teraz zrobić wypada. Przez mózg przebiegały różne myśli i projekty, a jeden od drugiego szaleńszy.

W końcu wsadził klucz w zamek, przekręcił, pchnął drzwi i stanął na progu. To, co zobaczył, wprawiło go w ogromne zdumienie. Oto niewierna jego małżonka stała najspokojniej przed lustrem, nakładając beztrosko barwinek na śliczną buźkę.

Postąpił krok jeden i drugi.

— Czy ci nie wstyd?! — zawołał z wyrzutem. — Na Boga! czy ci nie żal hańby sprowadzonej na moje nazwisko?

Pani Jadwiga odwróciła z wolna, leniwie piękną główkę i spojrzała drwiąco na tyrana.

— W piętkę gonisz, czy co? — rzekła niedbale, — że pazik klęczał u moich nóg i wiązał mi trzewiczek atłasowy? Tego nie jest on zwyczajny na dworze królewskim. Jaka hańba? Podejrzane, mon cher, nazwisko, które taki drobiazg hańbi.

Starosta spurpurowiał z gniewu. Przysunął się do żony i chwycił ją mocno za rękę, cisnąc niby kleszczami.

— I ty masz czelność jeszcze tak łgać?! — zawołał.

Pani syknęła z bólu, próbując uwolnić rękę.

— Puść mnie, brutalu! Puść mnie i nie zapominaj, że hrabianka Strutyńska nie jest pierwszą lepszą gęsią szlachecką, którą możesz lżyć bezkarnie.

— Ha, ha, ha! — wybuchnął gorzkim śmiechem pułkownik. — O tak, ty nie jesteś pierwszą lepszą szlachcianką, bo taka pierwsza lepsza nie dopuściłaby się takiej hańby, takiej felonii, takiej niecznej zdrady.

— Czego ty w końcu chcesz ode mnie?

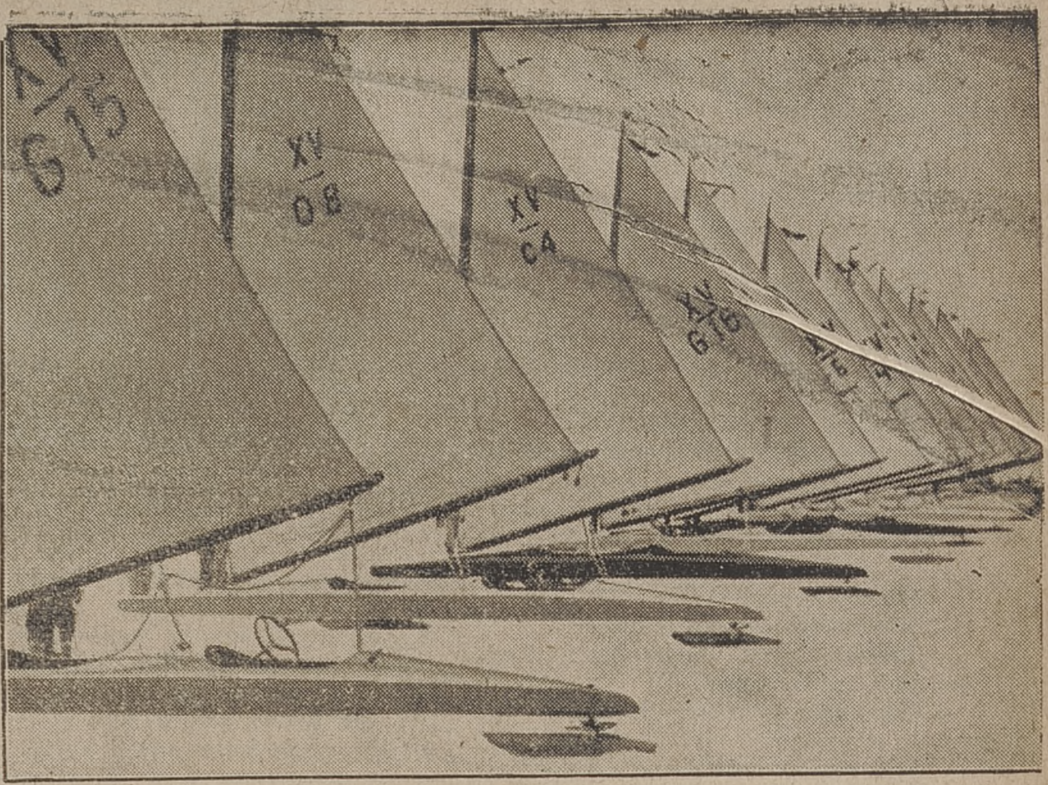
— Chcę, byś się przyznała, byś wyznała błąd, byś przynajmniej okazała chęć pokajania za ten grzech sodomiczny.

— Wypraszam sobie, mon cher, używanie do mnie słów podobnych. O co ci chodzi właściwie? Ty swoją śmiertelną zazdrością nawet świętego z cierpliwości wyprowadzić możesz. Wiem, com powinna mojej godności, mojemu urodzeniu i obowiązkom i ty nie potrzebujesz dawać mi rad ni nauk.

Pani Jadwiga była w tej chwili wprost nieprawdopodobnie piękna, kłamiąc; w jakiś welony przejrzyste spowita — sprawiała wrażenie czegoś istotnie jakby nieziemskiego, wrażenie jakiegoś zjawiska utkanego z mgły i promieni słonecznych.

Jeśli o piękność żony chodziło, pułkownik nigdy nie był ślepy, ale teraz widział daleko lepiej niż kiedykolwiek. Więc, aby nie ulec pokusie, bo czuł, jak ta syrena kusi go bardzo w tej chwili swoim pięknem, czaruje swoim urokiem, zatrzasnął gwałtownie drzwi do różowej komnatki, zamknął je dobrze na klucz i poszedł błąkać się po pałacu.

Wszystko przewracało mu się w głowie do góry nogami. Gdziekolwiek stanął lub gdziekolwiek usiadł, miejsce to zdawało go się parzyć. Więc zrywał się



Gdy u nas wiosna, w Rydze (stolica Łotwy) odbywają się jeszcze międzynarodowe wyścigi ślizgowców na lodzie.

natychmiast i szedł dalej, z miejsca na miejsce jak błędny lub obłąkany. W końcu wszystko to tak już mu zbrzydło, cały ten do niedawna tak miły pałacyk, że kazał podać sobie konia i pognał na złamanie karku na pola i lasy.

Wrócił późnym wieczorem i zamknął się w swojej komnacie ze starym, zaufanym sługą, Maciejem Brezą, staruszkiem już wiekowym i wiernym nad podziw.

A pani starościna, zamknięta na klucz w różowej komnatce z atłasu, w pierwszej chwili po odejściu męża siedziała na miękkim karle i uśmiechała się gorzko sama do siebie. Czasem tylko na wspomnienie przykrej sceny, którą przeżyła, brew jej się marszczyła i gniew srogi w niej wzbierał. Ale gniew ten nie kierował się przeciwko mężowi, który scenę tę jej urządził, ale przeciwko niefortunnemu miłośnikowi, który, choć w rzeczach tych musi wszak być mistrzem — nie potrafił tak się urządzić, aby nie zostać przyłapanym.

Później legła na miękkich poduszkach i podłożywszy ramiona pod głowę i przymknąwszy powieki — zaczęła rozmyślać nad tym, co będzie dalej? Jakoś musi się to przecież zakończyć, nie w ten, to w inny sposób. Mąż pewnie coś postanowi.

To znowu cofała się myślami do czasów sprzed kilku miesięcy, gdy jeszcze jako dziewica wkroczyła w świat salonów i balów, mając dokoła siebie rój wyfraczonych panów, synów najpierwszych domów, a życie uśmiechało się do niej wszystkimi swymi powabami, obiecując całe zdroje rozkoszy.

Na takich i podobnych myślach zbiegł jej czas do wieczora, gdy w pewnej chwili zgrzytnął klucz w zamku i na progu stanął stary Breza z tacą w ręku.

Pani starościna leniwie podniosła się i spojrzała przez ramię na starego sługę z zaciekawieniem.

— Oto posiłek wieczorny waszej miłości — rzekł Breza i nim pani Jadwiga miała czas cokolwiek rzec, już drzwi zamknęły się i klucz zachrobotał w zamku.

I tak miało się powtarzać w ciągu wielu następnych dni.

Z początku piękna dama przyjmowała to wszystko obojętnie, nie racząc nigdy zwracać na starego sługę więcej uwagi, niż na jakąkolwiek rzecz, która nam jest niepotrzebna. Wzięła na upór i postanowiła czekać, co to w końcu z tego wszystkiego wyniknie.

Tak mijały jej dni za dniami, w ciągu których widywała jedynie trzy razy dziennie, zawsze o jednakowej porze, starego Brezę, lecz nigdy nie próbowała przemówić do niego, zapytać o cokolwiek.

Wzamian rozmów, których ją pozbawiono, pani starościna myślała wiele i marzyła wiele. Wybiegała w myślach na szeroki świat, do Wołczyna księcia kanclerza Michała Czartoryskiego, gdzie kipiało życie balowe, gdzie pełno było wykwintnej młodzieży, na francuskich wzorach wychowanej, a bujna jej wyobraźnia tworzyła przygody cudne, w których ona główną zwykle odgrywała rolę.

Lecz wszystko to mogło wypełnić życie w czasie tylko bardzo ograniczonym, przez pierwsze dni osamotnienia i niewoli. Na dłuższą jednak metę wystarczyć nie mogło.

To też co raz częściej budzić się poczynało w pani Jadwidze pragnienie wyrwania się stąd, pragnienie uścisków choćby mężowskich nawet, do których podświadomie tęskniła, choć jawnie nigdy nie chciała przyznać się do tego nawet przed samą sobą. Czuła tylko ... ich jej brak, że ich pragnie, ale ... że ... nie przypominała ową scenę tak brutalną, gdy ... stalowy uścisk gniewnego męża — rod... ziła się w niej zawziętość, upór i mściwość.

— Nie, za nic nie zostanę tu! — powtarzała. — Za nic! — Ale co robić?

Zastanawiała się nad dalszym swoim życiem i z wolna dochodziła do przekonania, że dawne chwile nie mogą już wrócić, to darmo. Jużby tu nie mogła zostać, bo brutalność mężowska stanęła między nimi murem, którego ona burzyć nie myśli. W końcu miała już dość niewoli. Pragnienie wyrwania się stąd za wszelką cenę, pragnienie pofrunięcia na szeroki świat, który zwidywał jej się nieustannie w snach i marzeniach, wybujało w niej takim płomieniem, że owa niewola o łzy ją nieraz przyprawiała. Zaczęła też myśleć o ratunku coraz częściej i coraz uporczywiej. To też gdy dnia pewnego, jak zwykle, stary Breza wniósł południowy posiłek do jej różowej komnatki z atłasu, przemówiła do niego:

— Pan w domu?

— Nie wiem, wasza miłość.

— Jak to — nie wiesz? Żaliżbyś nie spotykał się z nim?

— Nie wiem — powtórzył znowu stary.

— Cóż wy — całe życie zamierzacie mnie tu trzymać pod kluczem?

— Nie wiem, wasza miłość.

— Słuchajno, stary — zaczęła nieco łagodniej pani Jadwiga — przecież ty sam nie wierzysz chyba w to, iżbym ja uwierzyła, abyś by nic nie wiedział z tego o co pytam... Pewnie też masz dzieci, córki już dorosłe, którym przydałby się choć nie wielki posag!...

— Nie mam nikogo, wasza miłość — jestem sam...

— Au diable! — zaklęła pani po francusku, poczem dodała: — Powiedz swojemu panu, iż pragnę się z nim zobaczyć.

— Nie mogę tego uczynić, wasza miłość.

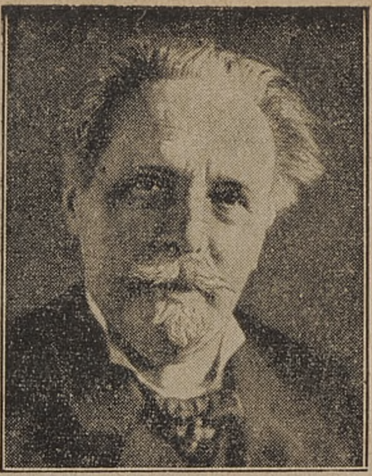
— Czemu to?

— Nie wolno podawać mi JW staroście żadnych zleceń waszej miłości.

— Dobrze — ucięła gniewnie — możesz odejść.

I znowu popłynęły dni jednostajne i smutne. Piękna pani, zamknięta w czterech ścianach, miała tylko bardzo skromny widok z okien na ogród pałacowy, poza którym lśniło srebro wód jeziora. Ale i przez ten niewielki prospekt mogła widzieć przynajmniej tyle, że tam już wiosna rozpachniała aromatami drzew i ziemi, rozdzwoniła się śpiewami ptaków. I zrobiło jej się tak ciężko, tak boleśnie na duszy, jak nigdy dotąd, a pragnienie wyrwania się z tego więzienia urosło do rozmiarów kolosalnych. Przyczym chęć zemsty, zemsty krwawej, bodajże nawet na brutalnym mężu, budziła się w niej jak dawno śniony sen, ale sen ten zdawał się stawać z dnia na dzień wyraźniejszy i jaśniejszy. Zaczęła też szukać ratunku, gotowa ważyć się na wszystko, byle jeno się wyzwolić, byle jeno wyrwać się stąd. Jakoż zwykły przypadek przyszedł jej z pomocą.

Dnia pewnego przybył do Opsy w odwiedziny podczas rekreacji szkolnych, 17-letni brat pana starosty opeskiego, Ksawery Ciechanowiecki. Było to chłopię młode, nieświadome jeszcze wielu rzeczy, nie znające bratowej, której nie widziało nigdy dotąd na oczy w swoim życiu, a w ostatnie zajścia w pałacyku nad drzemiącym jeziorem zupełnie nie wtajemniczone. Rozumiał Ksawerek, iż brat starosta nie jest takim, jakim znał go dawniej, ale też i nie śmiał nawet pytać o przyczynę niehumoru Jana. Ksawerek, kręcąc się po całym pałacu i parku, zaszedł raz pod okno pięknej pani w chwili, gdy ta z rozpuszczonymi złotymi włosami, niby druga Magdalena pokutująca, stała w nim i ze smutkiem spoglądała na świat.



W dniu 30 marca br. minęło 25 lat od chwili zgonu autora powieści podróżniczych Karola Maya, Niemca z pochodzenia.

Podszedł Ksawerek bliżej i zdumiał się ogromnie, bo mu się wydała, że to nie żywa postać ludzka, ale wspaniały obraz przecudnej roboty. Zobaczyła go też i starościna i ciekawie przyjrzała się chłopięciu, nie pojmując, kto to być może, a równocześnie błysnęła jej w głowie myśl o ratunku przy pomocy tego chłopięcia. Lecz jakże go wykonać? Jak porozumieć się z nim?

Pierwszego dnia skończyło się na tym, że Ksawery popatrzył jeno czas jakiś na piękne zjawisko i odszedł, ale na tyle był ostrożny, że nikogo o nic nie pytał, bo zresztą nie miał nawet kogo, a na drugi dzień znowu przyszedł pod okno i długo wpatrywał się w postać uroczystej zjawy.

Od tego dnia odwiedziny te powtarzały się prawie codziennie i prawie o jednej godzinie. Lecz cóż z tego, gdy niemożność porozumienia się z pachołęciem — uniemożliwiała wykonanie powziętego zamiaru.

W ciągu dni następnych Ksawery przychodził jak zwykle i wtedy przyszło na myśl pani Jadwidze porozumieć się z nim na migi. Jakoż wzięła kawałek papieru i pokazawszy go chłopcu, włożyła następnie pod talerz na tacy. Wszystko to robiła na oczach chłopca, pokazując mu gestami, aby postarał się list ten dostać i przeczytać.

Ksawerek zrozumiał o co chodzi i ucieszył się w duchu, bo pochlebiało mu, iż taka piękna niewiasta dopuszcza go do konfidencji ze sobą.

Gdy chłopiec odszedł, pani Jadwiga dobyła czysty papier i napisawszy obszerny list do ojca, w którym nie szczędziła zaklęć i błagań, prosząc o ratunek i barw czarnych dla odmalowania brutalności Jana i swojej niedoli, skreśliła następnie te parę słów do swojego domniemanego posła:

— „Ktokolwiek jesteś, młodzieńcze, racz okazać pomoc nieszczęśliwej. Pojedź do Brasławia do JW grafa Strutyńskiego i oddaj list załączony. A jeśli honor cenisz — nie powiadaj o tym nikomu, a zasłużysz sobie na dozgonną wdzięczność moją“.

Oba te listy włożyła pod talerz i wzruszona mocno, bo zawieszona między nadzieją a wyzwoleniem i obawą zdrady, a więc otchłanią dotychczasowej swej niewoli, zaczęła nerwowo przemierzać różową komnatkę. Ale Breza długo jakoś dzisiaj nie przychodził, tak długo, że pani Jadwidze wydało się nawet, iż wogóle dzisiaj nie przyjdzie.

W końcu zmęczona nieco chodzeniem, usiadła na taborecie przed lustrem i zajęła się toaletą, ubarwianiem swej nadobnej buźki i trefieniem loków.

Chrobot klucza w zamku oznajmił jej przybycie starego sługi. Opanowała się i wbrew ogromnej chęci popatrzenia, czy Breza nie spostrzeże papierów — nawet nie widziała starego. Domyśliła się tylko z jego czynności, że zabiera tacę z naczyniami, że zamierza następnie ku drzwiom, które trzasnęły i klucz zgrzytnął w zamku.

Tymczasem Ksawerek, który istotnie domyślił się, czego od niego żądano, niby tak sobie, za jakimś interesem, znalazł się w kuchni, słusznie rozumując, że owe naczynia tutaj właśnie przyniesione być muszą.

Jakoż po długim oczekiwaniu przyszedł w końcu stary Breza i tacę postawił na kredensie. Manewrując zręcznie, Ksawerek podsunął się w tę stronę, a wyczekawszy aż stary odejdzie, podniósł jedno i drugie naczynie na tacy, znalazł pisma i szybko ukrył je w kieszeni. Poczem, nie pytając o nic, opuścił wolno kuchnię, niby to niedbale i spokojnie, jak gdyby nic się nie stało, ale czuł jak ogromnie bije mu serce.

Skoro tylko znalazł się za progiem, pomknął co sił w nogach w zarośla nad jezioro, aby tajemnicze pismo przeczytać. Trzymał kartkę w ręku i czuł jak gdyby parzyła go ona ogniem, a taką ogromną chęć miał przeczytać ją tuż zaraz, na miejscu, że musiał zdobyć się na niełada wysiłek, aby się temu oprzeć w obawie, by brat starosta nie zobaczył i nie zapytał go, co to za ciekawą lekturę posiada.

Lecz obawy te były próżne. Pan pułkownik, pogrążony w melancholii i smutku, siedział w swojej komnacie, rozważając po raz już może setny zdradę i zastanawiając się nad sposobem jej ukarania. Samo zamknięcie małżonki nie wydało mu się dostateczną karą, poza tym — przecież nie może tak trzymać jej wiecznie. W końcu, szalona jego miłość do żony nie pozwalała mu wciąż na powzięcie jakiegoś trwałego męskiego postanowienia. Poprostu nie mógł i nie chciał dopuścić możliwości, aby miał wyrzec się pięknej i nad wszystko ukochanej, mimo wszystko, małżonki. Bywały chwile, w których zamierzał pójść do różowej komnatki z atłasu, porozmawiać z niewierną, a gdyby ona okazała chociaż cień skruchy — przebaczyć. (C. d. n.)

JADWIGA COURTHS-MAHLER

# Ofiary miłości

*Powieść*

13) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

— Kochanie, zważ jednak, że mężczyzna nie może żyć samą tylko miłością. Praca jest dlań koniecznością.

— O, ja rozumiem i musiałam się z tym pogodzić, najdroższy. Och, spójrz tylko na tę cudną grę świateł pośród zieleni. Przez oka mgnienie zdawało mi się, że jestem w naszym kochanym parku w Hattenfelde. Wiesz, chwilami zbiera mnie taka szalona tęsknota za domem. Chciałabym też zobaczyć tatusia i Ewę. Tak dawno już nie widziałam mojej ukochanej Ewuni. Ale ostatniej nocy śniło mi się o niej. Po przebudzeniu nie wiedziałam w pierwszej chwili, dlaczego mi tak smutno na duszy, ale potem zrozumiałam — strasznie mi tęskno bez Ewy. Proszę cię, napisz jej zaraz, że ją bardzo proszę o długi, długi list.

— Dobrze, napiszę jej zaraz.

Następnej nocy Gabi miała silne ataki kaszlu i krwotok. Rano była tak bezsilna, że nie mogła wprost podnieść powiek, ale w ciągu dnia znów się polepszyło. Rozmawiała pogodnie z Bernardem i Bettiną, snując najrozmaitsze plany co do przyszłości.

Bernard napisał do ciotki Marii, prosząc ją, by skłoniła Ewę do spełnienia życzenia Gabi. Donosił, że jest bardzo chora i pragnie wiadomości od swej przybranej siostry.

Niebawem nadszedł długi serdeczny list od Ewy. Na prośbę Bernarda utrzymany był w tonie pogodnym, bez wszelkich napomknień o stanie Gabi. Chora cieszyła się nim jak dziecko, a od tego czasu Ewa pisywała do niej często i obszernie.

* *
*

Zima dobiegała końca. Stan Gabi pogarszał się z każdym dniem, a w miarę ogólnego osłabienia, chora coraz bardziej tęskniła za domem. Ostatecznie tęsknota ta spotęgowała się do tego stopnia, że wypełniła wszystkie jej myśli i pragnienia. Niby drobne dziecko prosiła i błagała, by jej pozwolono wrócić.

Ulegając jej prośbom Bernard zapytał lekarza, czy bez narażenia chorej może spełnić to jej gorące życzenie i wrócić z nią do ojczyzny.

Tego samego przedpołudnia lekarz zbadał gruntownie płuca Gabi. Z uśmiechem zapewnił ją, że już bardzo rychło będzie całkiem zdrowa, lecz Bernard obserwujący bacznie wyraz jego twarzy zauważył, że na czole lekarza zarysowały się nagle dwie głębokie bruzdy. A kiedy po południu zadał mu owe pytanie co do ewentualnego wyjazdu z Włoch, przez chwilę chodził w milczeniu po pokoju. Następnie przystanął przed Bernardem i rzekł:

— Mogą państwo wyjechać... W ogóle proszę już nie odmawiać żadnemu życzeniu chorej.

Bernard zbladł i cofnął się o krok.

— Czyżby było tak źle? — spytał głosem zdławionym.

— Gorzej już być nie może. Musi się pan przygotować na wszystko.

Bernard zasłonił sobie oczy ręką. Były wilgotne i czerwone, gdy po chwili opuścił rękę. W tej chwili uświadomił sobie, jak serdecznie przywiązał się jednak do tej delikatnej, tak bezmiernie go kochającej kobiety. Pobladłe jego usta drżały tłumionym bólem...

I znowu napisał do ciotki Marii. Zawiadomił ją, że niebawem wróci z Gabi. Dogorywa, więc nie można jej odmawiać niczego. Prosił też, by zawiadomić Ewę, że Gabi tęskni za nią i pragnie ją zobaczyć w Hattenfelde. On nie chce nalegać, pozostawiając Ewie decyzję, czy zechce spełnić ostatnie życzenie umierającej. Byłby jej jednak wdzięczny, gdyby to uczyniła.

„O ile to zależy ode mnie, staram się jej rozjaśnić te krótkie chwile, jakie jej jeszcze pozostają. Gdybyście ją mogli zobaczyć, serce by się wam krajało na widok tej uroczej twarzyczki dziecka, tak strasznie wyniszczonej przez chorobę. Mnie oddech zamiera w piersi, gdy patrzę na nią, a jednak muszę panować nad sobą i udawać spokojnego, by się nie domyśliła strasznej prawdy. Gdybym nie miał przy sobie matki, która mnie podtrzymuje, nie wytrzymałbym tej męki" — brzmiał końcowy ustęp listu.

* *
*

Gabriela była znów w domu.

Długa, uciążliwa podróż do reszty wyczerpała jej siły. Mimo to bledziuchną twarzyczkę opromieniał uśmiech szczęścia, gdy leżąc przy oknie, zachwyconym spojrzeniem witała znany kochany park w Hattenfelde. Nie było tu oczywista ani śladu owego bogactwa kwiecia, do którego przywykła na południu. Tylko skromniutkie koniuszki trawy wychylały się z pod czarnej ziemi, a na grzędach rozkwitały pierwiosnki i krokusy, pierwsze zwiastuny wiosny. Na rozłożystych kasztanach nabrzmiały pęki, a niektóre rozsadziły już grube osłony.

Ale dla Gabi te pierwsze skąpe zapowiedzi budzącego się przedwiośnia były stokroć milsze i piękniejsze od całego rozrzutnego piękna Włoch. Bernard siedział obok niej i odczytywał list od Ewy. Donosiła, że nazajutrz przyjedzie do Hattenfelde.

— Och, jakże się cieszę, najdroższy. Zobaczę moją złotą, kochaną Ewunię... Wyobrażam sobie, jak mnie znów będzie rozpieszczać. A z pewnością usłyszę też burę, że tak długo nie mogę wyzdrowieć — dodała z uśmiechem rozrzewnienia.

— Kochanie, to tylko chwilowe osłabienie. Podróż cię wyczerpała, ale rychło odzyskasz siły.

— Tak, jestem pewna, że teraz wyzdrowieję już szybko. Tak ogromnie się cieszę, że znowu jesteśmy w domu.

Nazajutrz przyjechała Ewa. Bernard wysłał powóz na stację, sam jednak pozostał przy żonie, chcąc sobie i Ewie zaoszczędzić spotkania w cztery oczy.

Jakkolwiek Gabi stała mu się tak drogą, że własnym życiem gotów był okupić jej powrót do zdrowia, jednak nie mógł spokojnie myśleć o Ewie. Nazbyt ją kochał przez te wszystkie długie lata, miłość ta zrosła się z jego życiem, zapuściła zbyt głębokie korzenie, by mógł ją wyplenić.

Gabi gorączkowo wyczekiwała przybycia upragnionego gościa. Nakoniec siedząca przy oknie Bettina oznajmiła, że powóz wjechał w aleję parku. A w parę minut później otworzyły się drzwi i stanęła w nich Ewa.

Na widok tak straszliwie wychudłej twarzyczki Gabi, musiała przywołać całą siłę woli, by zdławić cisnące się do gardła łzy i nie wybuchnąć rozpaczliwym łkaniem. Osunęła się na kolana przy łóżku chorej i gorącymi pocałunkami okrywała maleńką przezroczystą rączkę Gabi.

— Moje maleństwo najdroższe, moja Gabi, kochanie — szeptała zdławionym szeptem. Objęła ramionami wątłą postać chorej i kwitnącą swą twarz przytuliła do jej bladego policzka.

— Nareszcie cię mam Ewuniu złota... tak długo musiałam czekać na ciebie. Wszystkie wspomnienia wspólnie przeżytego dzieciństwa i młodości, cała miłość siostrzana zbudziła się raptownie w ich sercach.

Bettina i Bernard wysunęli się cicho z pokoju, zostawiając je same.

Długo ją Ewa obejmowała ramionami, całując jej twarz, włosy i ręce, i starając się opanować

po pierwszym, wstrząsającym wrażeniu. Nareszcie wstała z klęczek i usiadła przy łóżku.

— Wybacz, kochanie, chciałam przywitać cię spokojnie i zaoszczędzić ci wzruszenia. Ale nie potrafiłam się opanować. Zbyt wiele wspomnień łączy mnie z tym domem i z tobą... nie zdołałam się im oprzeć. Ale teraz będziemy już rozsądne. Jakże się miewasz moje maleństwo kochane?

Gabi się uśmiechnęła.

— Dobrze, bardzo dobrze, Ewuniu. Mam nadzieję, że teraz już szybko wrócę do zdrowia. Tak, muszę się starać, bym była silniejsza i lepiej wyglądała, gdy tatuś wróci z podróży.

Mimo całego panowania nad sobą, Ewa drgnęła, a twarz jej pobladła raptownie. Gabi wpatrująca się w nią promieniejącymi oczyma, zauważyła to i pieszczotliwie ujęła ją za rękę.

— Ewo, wybacz, że wspomniałam tatusia. Widzę, że nie możesz jeszcze myśleć o nim bez żalu. A ja to dobrze rozumiem i nie powinnam była mówić o nim. Tak, wciąż się jeszcze dręczysz, że musiałaś mu zadać taki ból. Ale uspokój się, kochana. On silny, przezwycięży ten zawód. A ja będę dla niego taka dobra, że z pewnością sie uspokoi i będzie szczęśliwy. Wszak nie gniewasz się na niego? Nieprawdaż? Niech tylko szybko wyzdrowieje, a będę robić wszystko, by się czuł dobrze ze mną i z Bernardem.

Szczebiotała w dalszym ciągu swym słabym głosikiem, nie mogąc się nacieszyć obecnością Ewy. Raz po raz powtarzała: „Skoro tylko wyzdrowieję"... snując najdroższe plany na przyszłość. Ewa zmuszała się do swobodnego tonu, ale serce się w niej krajało w bezbrzeżnej męce.

W południe Gabi musiała po zażyciu lekarstwa wypocząć na chwilę, a Ewa przeszła z Bettiną i Bernardem do jadalni. Teraz dopiero przywitała Bettinę, całując ją w rękę. Wszyscy troje rozmawiawiali półgłosem o Gabi. Ewa przełykając łzy ,nie taiła już teraz wstrząsającego wrażenia, jakie na niej wywarł jej wygląd.

Nazajutrz rano Ewa odjechała. Nie była w stanie udawać spokojnej i układać z Gabi plany niedalekiej przyszłości. Wytłumaczyła jej, że ze względu na dzieci, nie może zostać dłużej, przytem obawia się, że wuj Wendenburg gotów przyjechać wcześniej, niż się go spodziewają. Narazie woli mu zaoszczędzić widzenia, które dla obojga byłoby przykre. Gabi pozwoliła się przekonać, zwłaszcza że Ewa przyrzekła ją odwiedzić w krótkim czasie.

Bernard pomógł jej wsiąść do powozu.

— Bardzo pani dziękuję — rzekł wzruszony wyciągając do niej rękę.

Podała mu swoją.

— Niech Bóg panu użyczy sił do zniesienia tego ciosu — szeptała.

— Dziękuję. Proszę pozdrowić wujostwo i dzieci.

— Najserdeczniej panu dziękuję za stworzenie mi tego ogniska. Nie miałam sposobności uczynić tego wcześniej.

Ucałował jej rękę.

— Czy znalazła tam pani spokój? — spytał cicho.

Spojrzała nań poważnie, a oczy jej zaszkliły się łzami.

— Tak, znalazłam spokój i siłę do dalszego życia — rzekła spokojnie. — Zawdzięczam to wujowi Frycowi i cioci Marii, bo tak ich nazywam. Dzięki tym niezwykłym ludziom życie moje znów nabrało dla mnie wartości i dopóki będę mogła przebywać w tym azylu, będę się uważać za szczęśliwą. Niczego więcej nie oczekuję już od losu. Jeszcze raz: Niech Bóg pana strzeże. Proszę pozdrowić Gabi.

— Ogromnie zmieniona, nieprawdaż? — spytał cicho.

Opadła na poduszki powozu i przysłoniła oczy dłońmi.

— Proszę nie pytać... nie mogę mówić o tym.

Odjechała, łkając bezpamiętnie.

A on wrócił do pokoju chorej, z sercem pełnym rozpaczy.

* * *

W parę dni później Wendenburg wrócił z Anglii. Bernard uprzedził go w ostatnim liście o beznadziejnym stanie Gabi, by zaskoczony jej strasznym wyglądem nie zdradził swym zachowaniem, jak źle z nią jest.

Mimo tego przygotowania, nie pozostawiającego ojcu żadnych złudzeń, Wendenburg na widok Gabi struchlał z przerażenia. Dawno jej nie widział, a w międzyczasie choroba dokonała takiego spustoszenia, że z trudem powstrzymał wydzierający mu się okrzyk rozpaczy.

Gabi podniecona przybyciem ojca, nie zauważyła wyrazu jego twarzy, zwłaszcza, że w następnej już chwili zdołał się opanować. Wpatrywała się w niego błyszczącymi oczyma, a na twarzyczce jej wykwitły złudne rumieńce.

— Ojczulku, jak dobrze, że nareszcie jesteś znów w domu! Zobaczysz, jak szybko teraz wyzdrowieję. Ale już cię nie puszczę w żadną podróż. Jakże mogłam wyzdrowieć, ,gdy wciąż musiałam tęsknić za kimś — dodała żałosnym głosikiem skarżącego się dziecka.

Nadszedł pewien wilgotny mglisty wieczór wiosenny. Chora wyczerpana, z woskowo-bladą twarzą leżała z przymkniętymi oczyma.

Bernard i Bettina siedzieli po obu stronach łóżka, z tajonym niepokojem śledząc dogasające życie. Wendenburg stał przy oknie, beznadziejnym spojrzeniem patrzył w chmurne niebiosa.

Nagle Gabi otworzyła oczy.

— Tatusiu... gdzie tatuś... niech przyjdzie... prędko... a... ach, Bernardzie... ratuj... tatusiu... ratuj...

— z ust buchnął krwotok. Dławiła się przez chwilę, jakby walcząc z uczuciem duszenia. Następnie opadła na poduszki i uśmiech ulgi przemknął jej po twarzy.

— Już mi dobrze... zasnę — szepnęła z uśmiechem, łagodnym spojrzeniem obejmując tych troje. Ułożyła się wygodniej i zamknęła oczy.

Po chwili je otworzyła, i z wyrazem nieopisanej tkliwości spojrzała w bladą twarz Bernarda.

— Najdroższy, nie lękaj się. Czuję, że cała ta niedobra choroba opuściła mnie nagle. Teraz się tylko prześpię i wyzdrowieję. Prawda, tatusiu?

Uczepiła się jego ramienia, dreszcz przebiegł całą jej postać. Głuchy gulgot wydobył się jej z gardła

Ucałował ją w czoło.

— Tak, kochanie, śpij spokojnie.

Powieki jej opadły.

— Dobranoc, najdroższy! Dobranoc, tatusiu. Jeszcze raz cień uśmiechu przemknął po jej twarzy. Podniosła rączkę, by ją podać Bernardowi, lecz opadła bezwładnie. Ostatnie westchnienie uleciało z jej piersi. Skończyła...

* * *

Niemal dwa lata upłynęły od śmierci Gabrieli. Wendenburg i Bernard szukali zapomnienia w wytężającej pracy. Mieszkali razem w „willi Anna" i w ciężkich chwilach jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli. Przez cały ten czas żyli w zupełnym odosobnieniu, nie utrzymując żadnych stosunków towarzyskich.

Ale czas zrobił swoje i ukoił bolesne rany obydwu, a życie wyciągało nęcące swe ramiona. Zwłaszcza w duszy Bernarda coraz silniej odzywała się przygłuszona na czas jakiś tęsknota za Ewą, której nigdy przecież zapomnieć nie zdołał. Może już wcześniej byłby się do niej zbliżył, gdyby nie wzgląd na Wendenburga.

Pewnego dnia jednak Wendenburg sam zaczął mówić o niej.

— Jaki cichy i smutny stał się nasz dom. Gdyby Ewa do nas wróciła, byłoby przecież inaczej.

Bernard obrzucił go badawczym spojrzeniem.

— Chciałbyś naprawdę, by wróciła? Czy nie byłoby ci jednak zbyt wielką udręką przebywać z nią pod wspólnym dachem?

Wendenburg uśmiechnął się boleśnie.

— Sądzisz, że się jeszcze nie wyleczyłem z chwilowego szaleństwa, które mną wówczas owładnęło? To minęło całkowicie i bezpowrotnie. Ewa wie o tym, bo szczerze jej wszystko powiedziałem. Ale ona sama nie chce tu wrócić.

— Może dlatego, że dobrze wie, jak nieodzowną stała się dla cioci Marii — rzekł Bernard.

Twarz Wendenburga wyrażała powątpiewanie. Spojrzał głęboko w oczy Bernarda, jakby chciał z nich wyczytać odpowiedź na dręczące go pytanie.

Wendenburg drgnął, a na twarzy jego odbiło się zdumienie.

— Czyżbyś znał ten drugi powód? — spytał nalegająco.

Wtedy z duszy Bernarda wyrwała się tajemnica tak długo ukrywana. Opowiedział teściowi całe dzieje swej miłości, nie zmilczając ani jednego szczegółu. Z głową wspartą na ręku starszy mężczyzna wysłuchał tej spowiedzi, nie przerywając ani słowem. Gdy Bernard zamilkł, tamten westchnął głęboko.

— Więc i ciebie skazałem na wyrzeczenie się szczęścia! Ta fatalna namiętność całkiem mnie widać ogłupiła. Jak mogłym być tak ślepym?

Bernard ujął go za rękę.

— Och, proszę, nie rób sobie wyrzutów z tego powodu! Czyż człowiek odpowiada za swoje uczucia? Los oplątał nas wszystkich siecią złudzeń i pokrzyżował nasze zamiary.

Wendenburg skinął głową potakująco. Po chwili rzekł w zadumie:

— Miało to przecież jedną dobrą stronę. Moja biedna Gabi zażyła bodaj na krótko złudnego szczęścia. A że ją niem obdarzyłeś mimo wszystko, dzięki z całego serca.

— Podzięka należy się Ewie. Ona to świadomie uczyniła dla Gabi ofiarę ze swej miłości, ja poszedłem za jej przykładem, ponieważ tego żądała.

— Więc dziękuję wam obojgu. Ale teraz nie zwlekaj dłużej i postąp zgodnie ze swym uczuciem. Sprowadź Ewę i bądźcie szczęśliwi, a mnie pozwólcie się cieszyć waszym szczęściem. Jestem stary i zrezygnowany, nie pragnę już niczego prócz spokoju i odrobiny serdecznej atmosfery.

Po tej rozmowie Bernard nie widział już żadnego powodu do dalszej zwłoki. W najbliższych dniach wyjechał i bez uprzedniego zawiadomienia zjawił się u wujostwa.

Ewa była z dziećmi na przechadzce. Skorzystał z tego i odrazu zawiadomił Herbigów, w jakim celu przybywa. Poprosił, by po powrocie Ewy z dziećmi umożliwili mu z nią chwilkę rozmowy bez świadków.

Był tak radosny i pewny swego szczęścia, że o bliskich zaręczynach mówił jak o fakcie, nieulegającym wątpliwości.

Zobaczywszy Ewę wracającą z dziećmi, Maria powiedziała mu, by przeszedł do salonu.

— Poproszę ją, by mi coś przyniosła. Przyjdzie do ciebie zgoła nieprzygotowana. Dzieciom także nie powiem narazie, żeś przyjechał, bo nie mielibyście chwili spokoju. Życzę szczęścia! Dałby Bóg, byśmy dziś jeszcze mogli wam złożyć życzenia.

Bernard czekał w salonie, niecierpliwie przebiegając pokój wzdłuż i wszerz. Każda minuta dzieląca go od celu upragnionego wydawała mu się wiecznością.

Nareszcie drzwi się otworzyły i stanęła w nich Ewa, zgoła się nie domyślając, że tam kogoś zastanie. Na widok Bernarda przystanęła struchlała.

— Pan tu? — wykrztusiła, walcząc z przemożnym wzruszeniem.

Ujął obie jej ręce.

— Tak, Ewo — ja we własnej osobie. Wiesz dobrze, z czem przybywam, i wiedziałaś, że któregoś dnia przybędę.

Wciąż jeszcze stała jak zmartwiała i tylko oczy jej z niewymowną udręką wpatrywały się w jego twarz.

— Tak, wiedziałam, że to nastąpi i bałam się tej chwili — rzekła bezdźwięcznie.

Objął ją spojrzeniem najtkliwszej miłości.

— Ewo, bałaś się? — spytał gorąco, błagalnie. — Czemu się bałaś? Czy przestałaś mnie kochać? Jeśli to powiesz, nie uwierzę.

Potrząsnęła głową.

— Nie — to byłoby kłamstwem. Wiesz dobrze, że kocham cię od owej chwili, kiedy rzuciłeś się do Renu, by uratować Gabi. I nie przestanę kochać cię do ostatniego tchnienia. Ale twoją być nie mogę.

Przycisnął jej ręce do swego serca.

— Ewo, nie mówisz chyba serio. Czy nie złożyliśmy ofiary dostatecznej? Uczyniliśmy oboje więcej niż nakazywał obowiązek. Ale dość już tej rezygnacji! I nam należy się szczęście. Cień Gabi nie może nam go przyćmiewać, ona sama połączyłaby nasze ręce, gdyby mogła to uczynić. A wzgląd na wuja Wendenburga również cię nie może powstrzymywać. On wie o wszystkim i sam mnie przysyła do ciebie.

Wysunęła swoje ręce i cofnęła się o krok.

— Nie cieni się obawiam i nie one dzielą mnie od ciebie. Nie chodzi też o wuja Wendenburga, który jest mi znów ,jak dawniej, ukochanym opiekunem.

— Więc o co? Dla jakich urojeń chcesz znów udaremnić nasze szczęście?

Twarz jej wyrażała bolesną walkę wewnętrzną.

— Sądziłam, że wiesz o tym... Tym sobie też tłumaczyłam, że tak długo nie przyjeżdżałeś tutaj. Och, czemu nie zaoszczędziłeś mi tej chwili! Wszak wiesz z pewnością, że ciąży na mnie wstyd i hańba. Rozumiem, że ciężko ci było przezwyciężyć tę przeszkodę. Ale ja nie przezwyciężę jej nigdy.

Bernard przyglądał jej się jak człowiek, do którego przemawiają zgoła niezrozumiałym dlań językiem.

— O czem mówisz? — Zupełnie nie rozumiem.

Obronnym ruchem wyciągnęła ręce.

— Bądźże szczery! Sądzisz, że się nie domyślam, iż myśl o hańbie mojej matki powstrzymywała cię tak długo od zbliżenia się do mnie? Wiem, że mnie kochasz, więc miłość przezwyciężyła ostatecznie twoje skrupuły, ale wiele kosztowało cię to zwycięstwo?

Silnie pochwycił ją za ręce i zmusił, by mu spojrzała w oczy.

— Więc tak o mnie myślałaś? — spytał tonem gorzkiej wymówki. — Ewo, jak mogłaś wpaść na podobny pomysł? Co mnie obchodzi twoja matka? Co ona ma wspólnego z naszym szczęściem?

Osunęła się na fotel, bezsilna i zgnębiona.

— Bardzo wiele — szepnęła. — Czyż zapomniałeś ,że odsiadywała karę więzienną? Ja tego nie zapomniałam i nie zapomnę nigdy.

Ukląkł obok niej, tuląc jej ręce w swoich.

— I ty mogłaś przypuszczać, że to może wpłynąć na zmianę mego stosunku do ciebie? Ty moja jedyna, ukochana! Wszak ja również pokochałem ciebie od pierwszego wejrzenia. Jako młodzieniec marzyłem o twoich złotych oczach, pracowałem i dążyłem naprzód z myślą o tobie. A kiedy zdobyłem podstawę materialną i zapragnąłem tego szczęścia, od lat pieszczonego w duszy, ty skazałaś mnie na mękę wyrzeczenia. Ale teraz nie pozwolę się odprowadzić po raz drugi. Co mnie obchodzi twoja matka, powiedz!

Ciąg dalszy w nast. numerze.

## Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

**Niedziela, dnia 11 kwietnia 1937 r.**

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Wilna 10.45 Koncert rozrywkowy 12.03 Poranek muzyczny z Katowic 14.00 Uroczystości rozdania nagród uczestnikom biegu rozstawnego o nagrodę Polskiego Radia „Raszyn — Warszawa" 14.20 „Radiowy abonent stolicy Nr. 100.000 przed mikrofonem" 14.30 „Wesele mazurskie" — ludowy obrazek muzyczny 15.15 Zespół harmonistów 15.30 „Audycja dla wsi" 16.00 Muzyka lekka 16.30 Wznowienie słuchowiska „Biedna młodość" 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 Szkic literacki „Z życia Elizy Orzeszkowej" 19.20 Muzyka angielska — płyty 21.00 „Żółty mops" — komedia muzyczna 21.40 Pieśni węgierskie 22.10 Orkiestra wileńska 23.00 Muzyka taneczna.

**Poniedziałek, dnia 12 kwietnia 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Marsze w wykonaniu orkiestry wojskowej 12.30 „Od warsztatu do warsztatu" — audycja poświęcona rzemiosłu krawieckiemu 15.15 „Od sopranu do basu" — koncert 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.30 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 17.05 „Program liceów ogólnokształcących" — odczyt dla nauczycieli 17.20 Władysław Żeleński: Kwartet smyczkowy A-Dur 18.10 Przemówienie kierownika Okręgowego Urzędu WF. i PW. Toruń 19.00 Aud. strzelecka 19.30 Koncert muzyki ludowej z przyśpiewkami 20.15 Utwory Debussy'ego w wykonaniu Zygmunta Dygata 21.00 „Moralność Pani Dulskiej" — fragment słuchowiskowy 21.30 Mała Orkiestra P. R. 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Muzyka taneczna.

**Wtorek, dnia 13 kwietnia 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Nicolo Paganini (płyty) 15.15 Utwory fortepianowe i pieśni 16.30 „Płyta za płytą" 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 17.15 12 audycja „Sonaty skrzypcowe" Beethovena" 17.40 „Babsko kurocyjo" — wesoły obrazek 18.10 Przemówienie Okręgowego Urzędu WF. i PW. Brześć n. Bugiem 19.00 „Dyskutujmy" — „Po co chodzimy do kina?" 19.20 Józef Haydn: fragment z Oratorium „Cztery pory roku" (z Wilna) 21.00 „Odgłosy polskie" — koncert 22.10 „Beniowski w życiu i w literaturze" — szkic literacki 22.25 Muzyka taneczna.

**Środa, dnia 14 kwietnia 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert orkiestry salonowej 15.15 Mozaika muzyczna 16.10 „Kukiełki śląskie": „Strachy w bibliotece" — audycja dla dzieci 16.30 Koncert chórów ludowych 17.15 „Z naszych wspomnień muzycznych" 17.50 „Spokojone sumienie" — „Rozmowa z przyjacielem" 18.25 Muzyka lekka (płyty) 19.20 „Słynni dyrygenci" — koncert 20.05 Koncert rozrywkowy (płyty) 21.00 „Opowieść o Chopinie" — 14 wieczór — „Portret Fryderyka" 21.45 Koncert kameralny 22.25 Muzyka taneczna.

**Czwartek, dnia 15 kwietnia 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek szkolny dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Lekka muzyka włoska 12.50 „Doświadczenia polowe w mniejszym gospodarstwie" 15.15 Wiązanka melodyj filmowych 16.35 Piosenki (płyty) 1.700 „Walka z gruźlicą" — dialog 17.15 Ignacy Feliks Dobrzyński: Sekstet Es-dur 18.10 Przemówienie Inspektora WF. i PW. z Katowic 18.25 Muzyka lekka 19.00 „Czarne tulipany" — słuchowisko 19.40 Arie i pieśni odśpiewa Sergiusz Benoni 20R.0 Muzyka lekka 21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich" — „Stefan Poradowski" (z Poznania) 22.00 „W ogródku wiedeńskim" — kwartet Schrammla 22.40 Muzyka taneczna.

**Piątek, dnia 16 kwietnia 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Wirtuozi fortepianu i skrzypiec (płyty) 15.15 Mała Orkiestra P. R 16.30 Koncert orkiestry Straży Więziennej 18.20 Muzyka lekka (płyty) 19.20 „Z pieśnią po kraju" 20.15 Koncert symfoniczny 22.30 „Skrzynka zażaleń Nr. 2" — monolog Hemara 22.45 Muzyka taneczna.

**Sobota, dnia 17 kwietnia 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 „Śpiewajmy piosenki" — audycja dla szkół 12.03 Koncert popularny 14.30 „Związek 4-ch zuchów" — słuchowisko dla dzieci 15.15 Koncert rozrywkowy 16.15 Melodie Suppe'go 17.00 Koncert solistów 18.20 Muzyka lekka 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.30 „Salon Choufleury" — operetka w I akcie 21.00 Koncert wieczorny 22.00 „Kukułka Wileńska" 22.30 Mała Orkiestra P. R

# HUMOR

### *Oszczędność*

— Słuchajno, moja droga — co tak palisz jeden papieros za drugim?

— Trudno, chcę oszczędzić na zapałkach.

### *Dobra żona*

— Wiesz, że moja żona nie jest w stanie skrzywdzić muchy.

— Zawracanie głowy! Słyszałem, że ci bardzo często spuszcza lanie.

— No, tak, ale ja przecież nie jestem mucha.

### *U doktora*

— Pana córka musi mieć jakieś rozrywki.

— Jakiego rodzaju, panie doktorze?

— Męskiego.

### *Nawet dziecko*

Mały Jureczek zwraca się do ojca:

— Tatusiu, dlaczego ty ożeniłeś się mamusią?

Ojciec z triumfującym uśmiechem do żony:

— Widzisz, nawet dziecko nie może się temu nadziwić.

### *Na dźwiękowcu*

— Jużeście się panie tak nagadały podczas filmu, że moglibyście bodaj podczas pauzy być cicho!

### *Ciężka kara*

— Romeczku, choć tu natychmiast i pocałuj ciocię!

— A dlaczego, przecież nic złego nie zrobiłem!

### *Przynajmniej coś*

— Naucz się zawczasu ocenić wartość pieniądza, mój synu. Bez pieniędzy nie można bowiem nic zrobić w życiu.

— Ależ owszem, ojcze!

— Cóż takiego?

— Dużo długów.

### *Zagalopował się*

..i mówię wam — grzmi trybun ludowy na zgromadzeniu — że nadejdzie czas, kiedy każdy biedny człowiek będzie miał swoją służącą...

### *Dobry kawał*

— Cóż się śmiejecie? przecież jeszcze nie skończyłem dowcipu!

— Tak, ale my go już znamy od dwudziestu lat!

### *Szprotki*

Do sklepu towarów kolonialnych przychodzi klientka z pretensją:

Wczoraj wieczorem kupiłam tu puszkę szprotek. Otwieram ją i okazuje się, że czem głębiej, tem szprotki są gorsze!

— Bo — odpowiada kupiec — powinna pani otworzyć z drugiej strony, to by szprotki były coraz lepsze!

### *Dobre świadectwo*

— A macie, Icku, świadectwo na tego gniadego konia?

Miałem, ale zgubiłem.

— To ja boję się go kupić.

— Nie bójcie się, Wojciechu, ja wam daję honorowe słowo, że ten koń nigdy nie był kryminalnie karany.

### *Też racja*

— Ja to istotnie mam pamięć, co mi raz wejdzie do głowy, to już nigdy nie zapomnę.

— A jednak zapomniałeś o 25 złotych, którem ci przed miesiącem pożyczył.

— Ech, co ty pleciesz — przecież te do głowy nie weszły, tylko do kieszeni!

### *Dolinarz*

Posterunkowy schwycił złodzieja na gorącym uczynku kradzieży w przepełnionym tramwaju i woła:

— Dawaj ten portfel łajdaku!

— Nie mogę, panie władza, bo to nie mój.

### *Nie może*

— Co to panu w nos, panie radco.

— Komar mnie ukąsił...

— To czemu go pan nie zabił?

— Co ja? Przecież jestem członkiem opieki nad zwierzętami.

### *Zasadnicza różnica*

W szkole żeńskiej nauczycielka każe pisać małe zadanie na temat, jaka jest różnica stanowisk wobec małżeństwa między mahometanizmem a wyznaniami chrześcijańskiemi. Jedna z uczenic, której wszystkie „mono i poligamie" pomieszały się w głowie, pisze następującą odpowiedź:

— Mahometanizm pozwala swoim wyznawcom płci męskiej na poślubienie wielu żon, podczas gdy wyznania chrześcijańskie dozwalają swoim wiernym na małżeństwo z jedną kobietą. Ta ostatnia forma nazywa się „monotonią".

### *Przeszkoda*

Dlaczego nie odniósł pan znalezionego pięćdziesięciozłotowego banknotu na policję?

— Chciałem, ale byłem przez trzy dni pijany do nieprzytomności.

— No, a później?

— Później już go nie było.

### *Trudne objaśnienie*

Sędzia do chłopaka: — Jesteś bratem oskarżonego. Możesz więc świadczyć lub nie, jak chcesz? tak lub nie?

Chłopak odpowiada: — „Tak lub nie".

Sędzia zniecierpliwiony: — Jak niechcesz gadać to gadaj, że nie chcesz gadać i nie będziesz gadał, a jak chcesz gadać, to gadaj, że chcesz gadać i gadaj.

Nauczycielka pragnie wtajemniczyć uczennicę w odmianę czasowników i wytłumaczyć jej, co to jest czas teraźniejszy, przeszły i przyszły:

— No, Zosiu, teraz mówisz „ja jestem dziecko" — a kiedy będziesz dorosła, jak będziesz mówiła?

— Ja mam dziecko, proszę pani.

### *Usprawiedliwienie*

— Co ten twój sąsiad tam obok takie krzyki wyprawia?

— A bo widzisz, on mówi sam do siebie, a jest głuchy.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie